

Relacja przeprowadzona w styczniu 1988 r. w Lublinie z p. Janem ~~Krowczyńskim~~ ~~o niepublikowanie danych osobowych~~ Quosko

© ARCHIWUM WSCHOĐNIE

Urodziłem się 18.02.1923 w Lublinie, gdzie spędziłem całą młodość. Wojna zastała mnie jako ucznia IV klasy gimnazjum piaskowego w Lublinie. W 41 r. dowiedziałem się o istnieniu liceum ludowlanego (tzn. ono istniało już przed wojną, a Niemcy zgodzili się na jego istnienie), więc zapisałem się. Udałem egzamin z zakresu religii i na jesieni 43 skończyłem. Równocześnie kończyłem kurs szkoły podchorążych AK.

Kiedy wkróczyli Sowoci, byłem w oddziale partyzanckim; w czasie akcji "Lurek" II kompania VIII pułku piechoty, oddział podporucznika Nerwy (Wojciech Rokicki, ps. Nerwa). Wzięliśmy drogę na południe od Lublina.

Nasze spotkanie z Ruskimi tak wyglądało. Szliśmy w kierunku Lublina w czasie koncentracji I oddziału VIII pułku, który to koncentrację dowodził kapitan Klot (Szredling). 24-25.07.44 doszliśmy do miejscowości Polanówka (k. Zatorzyc). Jeszcze w czasie marszu na trakcie spotkaliśmy grupę młodych chłopców, których pytamy, skąd idą. A oni, że są z oddziału Kmicica i że ich Ruski rozbroili. Weszliśmy do Polanówki i tam już nas zatrzymali Ruscy, ale nie rozbroili nas. Zakwaterowaliśmy. Na drugi dzień zwołali taki miting; kazali nam usiąść w kole i jakiś pułkownik czy podpułkownik przemawiał po rosyjsku jako tłumacza wystąpił Gicłociński - Robiński. Ruski powie- ~~myz dowódcą oddziału Janiołaj~~ ⁵cił, że wojna się kończy, że Sowoci przyszli nas wyzwolić, i pyta nas, czy chcemy iść do wojska polskiego. My, że chcemy. Złócicie broń - on na to - i pod konwojem naszych żołnierzy pojedziecie do ^{Chetma} (Krat?). Ale warunkiem wstąpienia do wojska było złożenie broni, a przecie dla każdego z nas posiadanie własnej broni było wielkim zaszczytem, wielką rzeczą. Dowódcy naszych oddziałów (były tam oddziały Rysia, Nerwy i Janiołaj) powiedzieli nam, tak jak i mój dowódca, że kończy się partyzantka, stajemy nas z obowiązku służbowego i kto chce i jak chce, może odejść. Nas-

tego dnia rano miał nastąpić wymarsz. Przez cały ten czas żołnierze radzieccy byli jakby z boku, a ogólnie z nami nie rozmawiali. Oficerów było kilku, ale z nimi też jakoś ciężko było. Jeszcze wcześniej, jak szliśmy, pytali nas - Kto wy, Kościuszkowcy? Oni chyba nie wiedzieli, kim jesteśmy. Tak więc ci oficerowie też byli z boku; nie chcieli z nami rozmawiać, ale też nie zachowywali się agresywnie.

Rano kilku z nas przebrało się, jak kto mógł, i poszliśmy nad Łystrzycę. Jakiś Ruski pojął tam konie i zatrzymał nas, legitymować chce. Ale nie umiał on przecież po polsku czytać... Niektórzy z nas mieli fałszywe dokumenty, jeden pokazał mi nawet jakiś bilet kolejowy. Obejrzał i puścił nas. Poszliśmy do Lublina. Okazało się, że z tych trzech oddziałów u Ruskich zostało z 10 chłopaków, zdecydowana większość uciekła, włącznie z dowódcą. Później mi opowiadano, że Ruscy wcale tym się nie przejmowali. My poszliśmy bez broni, nie wiem, jak pozostali. Cięższą broń pakowaliśmy do Łystrzycy, pistolety do chałupy. Zresztą w jakimś dwa miesiące tej broni już tam nie było.

Do Lublina wróciliśmy pod koniec lipca, wkrótce zaczęło się powstanie w Warszawie. Szybko więc zwołaliśmy się. Pomógł nam, był magazyn broni porucznika Pokora, który z nami współpracował, i trzeba było szybko teren oczyścić. Jakoś tam udało się nam zorganizować. Zaczęliśmy wydawać pismo humorystyczne "Wentylator" wraz z Lesławem Eustachiewiczem, pracownikiem naukowym Uniwersytetu Poznańskiego, ps. Jęży, był podchorążym.

Któregoś dnia sierpnia dostaliśmy polecenie stawienia się na placu koło WKR (czyli RKO), gdzie obecnie stoi hotel "Victoria". Zebrało się tam kilkanaście tysięcy chłopaków, bo mieliśmy iść na pomoc Powstaniu Warszawskiemu; był przecież rozkaz generała Bora-Komorowskiego. Staliśmy tam dłuższy czas. Nagle przyszedł ^{inżynier z Komendy Aleksy A.K.} ~~jakis pan~~ Koledzy - mówi - rozjeżdżacie się, bo wasz generał został przez Ruskich właśnie aresztowany i nie będziecie mogli służyć na pomoc Powstaniu.

Zacząły się aresztowania. Gdzieś ktoś wpadł... Otrzymaliśmy wówczas takie kartki, zaświadczenia stwierdzające, że ten i ten jest żołnierzem

AK, ze stemplem Komendy Miejskiej AK Lublin. Ja także dostałem takie pi-
smo dla siebie i chłopaków z ^{mojego} VIII plutonu. Jeden właśnie z nich, zdaje
się, został aresztowany; handlował na targu (w miejscu, gdzie teraz za
Urzędem Miejskim jest siwec) i na targu go przytarli. Miał ze sobą to
zaświadczenie... Przypominam sobie, że miał pseudonim Kot. Znał mój
pseudonim, nie wiedział, gdzie mieszkam, ale nie znał mojego nazwiska.
Znał również pseudonim innego kolegi, ale nie znał ani nazwiska, ani
jego adresu.

Mieszkałem wówczas przy Przemysłowej, wchodziło się do kuchni, a z
niej do pokoju. Któregoś dnia siedziałem przy stole, miałem nawet roz-
łożone zdjęcia z partyzantki... Ktoś wchodzi. ^{Idę do kuchni.} Jeden sierżant z bronią
i cywil. Tego drugiego poznałem - taki gołębiarz z za cukrowni. Pytają
się mnie, czy tu mieszka podchorąży Jacyna. Odpowiadam, że takiego nie
znam. Miałem akurat lewą kenkartę z warszawskim adresem, ale oni i tak
znali mój adres i chyba mieli mój rysopis. W tym czasie aresztowali są-
siada, więc mówię, że to może o niego chodzi, zresztą przed chwilą przy-
jechałem z Warszawy i nic nie wiem. Zabrali mnie.

Zawieźli mnie na UB, do dużego mieszkania na górze, przy ul. Jasnej.
Byłem obciążony papierami... Zostawili mnie w przedpokoju, więc wszy-
stko udało mi się zniszczyć. Za jakiś czas wołają, pytają znowu o t e -
g o Jacynę. Wchodzi jakiś cywil i mówi to samo, a ja też powtarzam
swoją bajkę o aresztowanym sąsiedzie, że to on może jest Jacyna. Niech
pan popatrzy - mówię ^{mam} w porządku kenkartę... Poprosili, żebym podpi-
sał oświadczenie, że nikomu nie powiem, o co mnie pytali. I wypuścili.

Zacząłem się przez jakieś 2-3 tygodnie ukrywać się po wsiach, u kole-
gów. Ale tam było strasznie - Ruskich tam siedziało, w każdej chałupie,
chyba więcej niż w Lublinie. A każdy przecież wiedział, że ja jestem ob-
cym człowiekiem, więc musiałem wrócić do Lublina. Nawet trochę chodziłem
z pistoletem.

Miałem kolegę (mieszkał przy 4achodniej, był już Lonaty, miał małego
chłopaczka), który w listopadzie zaproponował mi, bym u nie-

go nocował. Wiedział, że w domu toje^{si} nocować i byłem to tu, to tu. Któregoś dnia przyszli, i to nasza podchorążówka, ^{berlingowska} polityczna; chodzili po domach i sprawdzali zameldowanie, kto nie był zameldowany - zabierali. Był to niewielki domek, mój kolega mieszkał na poddaszu i akurat wziął na górę książkę meldunkową. Gdy przysli natychmiast jej zażądali, to więc jego ojciec na górę, a oni za nim. Tylko nas zobaczyli, od razu z automatami, no i dokumenty... Miałem w dokumencie trochę podrobioną datę - podrobiłem rocznik na 25, bo tego właśnie rocznika nie brali jeszcze do wojska. Zresztą mieliśmy już wyraźne polecenie naszego dowódcy, by dekować się kto gdzie może, bo ciężko jest i nie wytrzyma się. Miałem nawet przy sobie załatwione po znajomości skierowanie do wojska. No i akurat tej nocy przyszli i zabrali do mieszkania przy Skłodowskiej; tam już było NKWD, i berlingowcy. Ludzi tam było od pioruna, straszliwie ciasno. Nad ranem zaczęli wywoływać. Patrzą - stale ktoś niknie, w końcu zostało nas kilka osób. Mieszkanie było obstawione Ruskimi, jeden z karabinem tuż na schodach, a berlingowcy nam pomagali: wprowadzali, wprowadzali.

Wchodzę wreszcie i ja, a tam jak w prezydium - stół, za nim jakiś cywil, Polak, i widać, że jakiś ineligentny gość. Razem z nim było jeszcze kilku Ruskich. Cywil spojrzał na moją kenkartę. To lewa kenkarta - od razu mówi. - Ileś za nią zapłacił? Ja mu na to, że to legalna moja kenkarta, i chcę już wychodzić. Kaprał pyta, co ze mną zrobić. Zatrzymać - pada odpowiedź. Zostałem ja i mój kolega.

W międzyczasie jeden z berlingowców pyta mnie, co jest. To był jakiś kresowiak. Mówi do mnie - Szkoda pana, ja wiem, co się dzieje, do Rosji wywożą. Będę miał służbę w nocy, to jeśli pań chce, niech pan skacze przez okno, a dalej niby służbowo pana odprowadzę.

Później przyszła żona mojego kolegi, płacze na korytarzu...

Znów mnie wołają. Leży kartka - moje nazwisko i imię, a przy sobie miałem kenkartę na nazwisko Barcikowski Wacław ~~czy~~ Władysław. Pytają, jak się nazywam. Macie tu przecież napisane - mówię. No, widzisz, a my cię tak długo szukali. Po powrocie do pokoju mojego kolegi

już nie zastałem.

Długo tak siedzę sam, przychodzi wieczór. ^{po} Zdnie z umową z żołnierzem zacząłem przymierzać się do ucieczki. Idę do ubikacji; jest tam okno, to wyskoczę. Ale na dole kręci się jakieś towarzystwo wojskowe. Idę drugi raz - to samo. Za trzecim razem już zaczęło świtać, a ruski wartownik wchodzi na klatkę schodową i do mnie - A ty ubieżasz chcesz? Udałem, że nie rozumiem, a on już mnie zaciąga z powrotem.

Jeszcze nad ranem woła mnie major, NKWD-zista. Przyjąłem taką zasadę, że będę mówił albo o zmarłych, albo o tych, co już siedzą, albo zostali wywiezieni. Chcesz uciekać - do mnie. A gdzież tam, przecież wartownik tu stoi - mówię. A on na to - Ty zmęczony, nie spałeś dzisiaj. Zaprowadzili mnie do pokoju berlingowców, którzy spali na jakimś stole. Ruski mówi do kaprała - On po rusku nie rozumie, ale uważaj, bo chciał uciekać. Trzymajcie go między sobą. Wyciągnęli jakiegoś żołnierza ze środka i kazali mi się kłaskać.

Już w dzień patrzę, a tu mój kolega. W drugim pomieszczeniu. Nie mogę się z nim skontaktować, bo w przejściu stoi żołnierz. Nagle nadleciał jakiś samolot, strzelania, zamieszanie się zrobiło, więc szybko zdążyłem się zapytać kolegi - Gdzieś ty był? A w domu byłem - odpowiada. To po cholere? żeś przyszedł! Bo mam złożyć w twojej sprawie zeznanie. Durny!?! - ja do niego. A bo wiesz - odpowiada - klucze od mieszkania tu zostawiłem, teczkę...

Później znów przyszła jego żona - z obiadem. Zjesz ^{cie} - mówi - teraz razem, a potem twoja mama coś przyśle i podzielicie się. Wchodzi dwóch NKWD-zistów - jedzcie, jedzcie spokojnie. Ale już po chwili załadowali nas do osobowego samochodu.

~~Ty i dwaj też~~ Ci dwaj też ~~wsiedli~~ wsiedli, jeden przy kierowcy z pistoletem, myśmy usiedli z tyłu z pepeszą przy głowie. I tak nas zawieźli na Narutowicza; jest tam jakaś szkoła gospodarcza, w okolicy Górnej i Okopowej. Zaprowadzili nas na trzecie piętro.

Siedzi bractwo... Zaczynają pytać, a nie wiadomo przecież, kto szpiegel, a kto swój. Ale zaraz okazało się, że prawie wszyscy to AK-owcy.

(ps teny.)

Wieczorem wprowadzają mojego kolegę - Bustachewicza. Wiedziałem, że nasz punkt (chyba u państwa Osieńskich) wpaść, ktoś sypał... Aresztowano tam bardzo wiele osób. Uznaliśmy, że się nie znamy.

Znowu przesłuchują nas NKWD-ziści. A skąd mam zaświadczenie AK-owskie? K, mu je dawałem? Kto mnie do AK wciągnął? Raz tylko jeden z oficerów zamierzył się na mnie pistoletem, bo zaczął znowu wypytywać... A gdzie jest ten i ten? A zginął. A gdzie? A na zamku siedzi. Mówi do mnie - Oj, młody jesteś, jakbyś tak prawdę powiedział, to byś do wojska poszedł polskiego. A mnie się wyrwało - Jak Boga kocham, już więcej nic nie wiem. A on wrzeszczy - Na chuj mi twój Bóg! I z naganem do mnie Na białych niedźwiedziach - krzyczy $\sqrt{\text{zginiesz!}}$

Podzielili nas i na samochody ciężarowe. Siedzieliśmy na podłodze, między nogi jeden drugiemu. I tak do Sokołowa Podlaskiego. $\sqrt{\text{U}}$ razu się zorientowałem, że część ludzi nic nie miała wspólnego z AK. Był np. jeden Żyd (Fejls ~~Strzałkowski~~), który przyszedł z PKWN-em. Gdzieś poszedł na dziewczynki i zaraził się. Poszedł więc do lekarza, a tam kocioł, i zamknęli go. Dali mu litrówkę nadmanganianu, by sobie moczył, i pojechał... Był też jakiś chłop, który do miasta przywiózł lekarzowi czy adwokatowi grzyby. Tam podobna sytuacja. Też pojechał.

No więc przywieźli nas do Sokołowa Podlaskiego. Miałem na szczęście dość dobre palto na kożusku i kolega mój miał także kożuch. I jakoś trzymaliśmy się razem. Potem dołączyli do nas dwaj panowie z Warszawy: doktor Kołodziej i podporucznik z wojska. Ten drugi był tylko w drellichach, miał jakiś płaszczyk, a doktor Kołodziej miał ze sobą cienki prochowiec... A to był już przecież grudzień, więc jakoś ukrywaliśmy się razem.

Trzymali nas w poniemieckiej stajni, leżeliśmy bezpośrednio na podłodze. Była jakaś herbata, nie-herbata z siana, coś tam niewiele do zjedzenia... Wieczorem zaczynają wywoływać i wyprowadzać. Srtach padł na nas błąd - Sybir, białe niedźwiedzie... Odeszły 3-4 grupy, ale zaraz nas zawrócili. Wtem wchodzi do baraku wózcy rosyjski oficer, a bractwo do niego się rzuciło, że to niby już nie wywozą, i dawaj go

całować jak boga... Poszliśmy spać.

Raniutko od nowa znów nas wywołują, ładują na samochody. Jedziemy przez Sokołów, ludzi nie ma, za to wszystko obstawione, na rampie kolejowej karabiny maszynowe. Wszędzie sowioci, ~~żadnych~~ polskich żołnierzy w ogóle nie ma. Stoją wagony towarowe, wszystkie połączone telefonem, na każdym wagonie z desek zbita budka dla wartownika.

Na każdy wagon załadowali około 40 ludzi. W środku piecyk, wiadro mięsa wysypanego obok... Ruszyliśmy.

Tylko gdzieś pociąg się zatrzymał, ^{myw (na parcie)} natychmiast wpadali z karabinami, liczyli nas w ten sposób wiele razy. Z początku chcieliśmy uciekać. Byli z nami chłopcy z Białej Podlaskiej, znali więc teren. Ale starsi panowie zaczęli krzyczeć, że my uciekniemy, a ich rozstrzelają.

W miarę ^{oddziaływa} posuwania się przygnębienie wśród nas stale wzrastało. Najgorszy był ^{i głębszymi} głód. Jeść dawali raz na dzień - suchary z chleba razowego, jakieś pół szklanki kaszy na gęsto; pić się chciało po tych sucharach pieruńsko. Kiedy prosiliśmy o wodę, otrzymywaliśmy odpowiedź: Wody nie ma, bo wasi przyjaciele, Niemcy, wytruli wodę w studniach. Straszliwie byliśmy wykończeni. Na dodatek nie wypuszczali nas w ogóle, a za kibel służyła nam tylko dziura w wagonie.

Jeden z gości miał pas repturowy i w nim przeschmuglował scyzoryk. Więc drzwiczkami od piecyka zaczęliśmy wyrębać deski, a tym scyzorykiem łamaliśmy je - mogliśmy w piecyku trochę palić, bo miałem nie dawaliśmy rady.

Trochę sobie opowiadaliśmy... Pamiętam, jakiś chłopak ze wsi - jechał w samej bluzie niemieckiej, a móż był duży - mówił, że trzymali go sowioci w jakimś bunkrze, brali na przesłuchania. Przyznaj się - mówią - żeś był w konspiracji. Zaprzeczał. To oni na to - No widzisz, żebyś ty był, to teraz za bohatera byś uchodził, poszedł byś do wojska, oficerem byś został. Chłopak im odpowiada - A ten, no, z tamtej wsi, był i czemu on siedzi. A na chuj ci wiedzieć...

Panika w wagonach straszna, bo podjechaliśmy pod Ostaszków, ale powieźli nas dalej i 14 grudnia dojechaliśmy do stacji Bałagoje, ^{ciężki} tj. No-

wogrod

~~Wogrod~~ Wielki, na południowy wschód od Leningradu.

I później do Borowicz (Uprawlienije Borowicze 270/V), to takie nieduże miasteczko. Tam nas wyładowali. Wyglądaliśmy okropnie, jak Murzyni. Tylko co wysiedliśmy, a bractwo zaczęło śnieg jeść; kto był mądrzejszy, to wołał, że śnieg brudny, ale i tak wszystkim cholernie pić się chciało.

W sumie w naszym transporcie naliczyłem około 50 wagonów - można powiedzieć, że było nas około 3 tys. W zeszłym roku dowiedziałem się, że nasz transport był drugim transportem z Sokołowa Podlaskiego. Jeszcze był lubelski w listopadzie, który ładowany był koło Monopolu Tytoniowego na rampie - przeważnie z ^{zakłonu z} więzienia lubelskiego na Świętoduskiej, (^{predcypenne} więzienia wojskowego). Później był jeszcze transport z Rzeszowskiego (Rzeszowszczyzna była tam licznie reprezentowana).

Uprawlienije Borowicze miało pod swoim zarządem kilkadziesiąt obozów, wszystkie radzieckie, jeszcze sprzed wojny. Uformowali nas w kolumny¹ i zaprowadzili, jakieś 5 km. od Borowicz, do jednego z nich we wsi Jegojsk (Jog^{Ja}); nasz obóz był przy samej wsi, tzn. przy chochozie (mieszkali tam chłopcy, a raczej same kobiety z dziećmi i starcy). Był to dosyć duży obszar, na bramie obozu napis: Es lipt di Zigrejte di Rothe Arme^{ek} (Niech żyje zwycięska armia czerwona). Na terenie obozu była łaźnia, wieża ciśnienia - te wszystkie urządzenia zaniedbane, nieczynne, zresztą nie było w obozie wody. Obok obozu cerkiewka^(przez ch. 093) - magazyn obozowy żywności. Miejscowość położona nad rzeką Mstą (Msta). Baraki, każdy na kilkadziesiąt osób, całe zakopane w ziemi, tylko dachy wystawały. ^{Wewnątrz 4 rzędy} piętrowych nar, pod ścianami i przez środek baraku, i cienki^{mur}, wąski korytarz. Nie pamiętam, ile było tych baraków. Oczywiście wszystkie pozabawione były jakichkolwiek urządzeń sanitarnych, a ubikacja to był zwykły dół z drągami. Siedzieliśmy razem z Niemcami, Węgrami, cała jeniecka Europa tam siedziała. Każda narodowość w osobnym baraku.

Charakterystyczne, że wszelkie władze wśród więźniów sprawowali Niemcy.

Kilka tysięcy Polaków miało polskiego komendanta, jeden z nich (było ich kilku, może ten był ostatni) to wojskowy z AK, kapitan Kaniowski.

Jedną rzecz, którą pominąłem - Nikt z nas nie miał żadnej sprawy sądowej ani żadnego wyroku. *Tak bezprawnie z-secano nas med nam!*

Pamiętam pierwszą priewierkę - sprawdzanie. Komendant polski melduje komendantowi ruskiemu - Towariszcz lejtnant... A Ruski na to - Jaki ja twój towarzysz!? Ty mnie mów pan (grażdanin)! Ja nie jestem dla ciebie żadnym towarzyszem!

Straszne były pierwsze trzy miesiące. Wody pitnej praktycznie żadnej, bo wszystko było zepsute. Pchły to nic, ale wszy! Można je było bić tysiącami, a rąk nie było gdzie umyć; pluło się na paluchy i wycierało o ubranie, i znowu można było bić. Jedzenie: 600 gram chleba (więcej wody niż chleb), rano pół szklanki gęstej kaszy, a obiad to 0,7-0,8 litra wody z liści kapuścianych, na kolację znów pół szklanki jakiejś innej "zupki". Czasem dali nam kostkę, jak paznokieć, mydła, żyzeczkę cukru. Dzielenie tego wszystkiego to była prawdziwa ceremonia. Zraz porobiliśmy jakieś wagi, fabrykowaliśmy noże - nic takiego nam nie dali. A jak zaczęli nas obrabiać... Zresztą od samego początku stale nam wszystko zabierali. *zaklećcie* Pamiętam, zaczęli dawać nam koce *we dachowiny z na wotiki* na szalik, to później też je zabrali. Rewizje robili stale.

Ja na przykład miałem ze sobą święty obrazek (św. Józef czy Jozafat). Jak go Rusek zobaczył, wyrwał mi i rzucił na ziemię. Ja do niego, aby mi go oddał, bo jest to dla mnie pamiątka. Wtedy wziął obrazek pod lampę i dokładnie zaczął go oglądać, jakby tam miały być jakieś szyfry... Ale *u odnapił* oddał mi. Zresztą i tak obrazek mi gdzieś zginął czy zniszczył się...

Zacząły zbliżać się święty Bożego Narodzenia. Jacyś optymiści zaczęli twierdzić, że nas wypuszczą do Polski, no bo to przecież święta, choinka. Poszła - pamiętam - plotka, że dadzą nam 10 deko słoniny. Przyszła Wigilia, a tu komenda - wszyscy z baraków! Mróz jak pierón! Rewizja w barakach i osobista. W sumie całą tę naszą pierwszą Wigilię spędziliśmy na mrozie...

Nie zorganizowaliśmy się w tę pierwszą Wigilię, zresztą wtedy jeszcze w ogóle nie było żadnego życia społecznego w obozie. Jakoś żyliśmy bardziej osobno... Ale i tak każdy był stale zajęty. Trzeba było wykombinować sobie jakąś żywkę, jakąś menaszkę, by mieć w czym jeść. Robiliśmy wagi do ważenia chleba; to ważenie było prawdziwym nabożeństwem. Na całym barak świeciły się tylko dwie żarówki i żeby było widać, robiliśmy z drewnianych drzask dodatkowe oświetlenie: jeden świecił, drugi ważył. Rano i na kolację dostawaliśmy wiadro jedzenia na dwudziestu, na obiad wiadro na dziesięciu - trzeba to było sprawiedliwie podzielić, bo bractwo głodne tylko oczy wytrzeszczało.

Te trzy miesiące kwarantanny strasznie dały nam w kość, bo ani wyjść, ani porządnie zjeść. Kiedy się wyszło wieczorem z baraku, to zaraz sztrażnik podchodził i mówił - Szukasz gwiazd, chcesz uciekać. I do bunkra.

W tym czasie trafiały się przypadki, że niektórych zabierali. Przychodzili, wywoływali i kazali się zbierać. Czy to były jakieś interwencje, czy jakieś sprawy sądowe, nie wiem. Nikt nie wiedział, co się z tymi ludźmi działo.

Jeśli chodzi o kary. Cały obóz otaczały druty kolczaste z ostrzeżeniami, że tych drutów nie wolno przekraczać, przekroczenie karane śmiercią. Pamiętam, że w okresie kwarantanny jeden więzień uciekł. Zabili go, zwłoki przywieźli. Wgonili ^y *(na murówkę dępo staliny)* cały obóz, żeby wszystkich postraszyć. Zresztą później też próbowali uciekać, ale to nigdy się nie udawało. ^z a podjęcie uciecki wsadzali do bunkra.

Bunkier to był taki ziemny dół z dachem, małe okno bez szyby. Wewnątrz niewiele miejsca, prycza. Raz tam siedziałem, ale to było lato, więc przyjemnie, bo chłodno i do roboty nie gonili. Ale w zimie było tam potwornie, całą noc trzeba było chodzić, by nie zamarznąć, a mrozu było ponad 40°.

Gdy skończyła się kwarantanna, powiedzieli, że idziemy do roboty, że każdy będzie pracował w swoim zawodzie. Najpierw komisja lekarska. Przyszły trzy kobiety, chyba Rosjanki, i dwóch oficerów, też Ruski. Każdy więzień koło nich przechodził, ściągał portki i pokazywał, czy tyłek ma

jeszcze pełny, czy mu już się zapadł. Jeśli tyłek był pełny, to się dosta-
wało I kategorię, jeśli chuderlawy - II, III kategoria to już tzw dys-
trofia. Więznia z dystrofią trzeba było ~~...~~ dokarmiać, bo następował już
zanik mięśni i mógł umrzeć, więc go dokarmiali, by nadawał się jeszcze
do roboty. Ja dostałem kategorię I i pomaszzerowaliśmy do Borowicz.

Obóz znajdował się tuż przed misteczkim, na wzniesieniu. Miasteczko
wielkości może Lubartowa, tak około 5-6 tys. mieszkańców; niewiele pa-
miętam, bo w miasteczku ^{u nas} nigdy się nie zatrzymywaliśmy, pamiętam tylko -
stał oczywiście pomnik Lenina. Zabudowania obozowe były tu nieco lepsze,
baraki wystawały ^{trochę} ~~...~~ ponad ziemię.

Pytają się nas o zawody. Jakiś pan mówi, że jest inżynierem budowla-
nym, mianowali go komendantem. "Zastępcy i ja byliśmy technikami budowla-
nymi. Pytają się nas o długość praktyki. Tamten mówi-8 lat, ja - 4, więc
srobili go zastępcą kierownika, a mnie brygadzystą u cieśli. Zgłosili się
nauczyciele, cieśle... "nauczycieli wyznaczali do pchania wózków z ziemią.
Nam się udało, bo przydzielili nas do pracy w pomieszczeniu - była to
chyba cegielnia. W pakamerze mieliśmy piecyk na drzewo. Robiliśmy tam
trzonki do kilofów, do łopat dlatych, którzy pracowali na zewnątrz.

Mieszkaaliśmy w obozie, ale do pracy wychodziliśmy do miasteczka. ~~W~~
^{u cieśli przedobraliśmy sobie targ}
~~dyś zaszliśmy na targ~~. Jakaś baba miała pół litra mleka, druga ze trzy
cebule, jakieś pierogi, placki ziemniaczane. Wszyscy ubrani w walonki,
w waciaki - kobiety i mężczyźni. ^{Taki był targ u cieśli.}

Długo w Borowiczach nie pracowałem, do Jęgołska wróciłem bardzo cho-
ry. W Borowiczach wybuchła epidemia biegunki, potem tyfusu. Bractwo za-
częło mrzeć. Zachorowałem, mimo że miałem stosunkowo nieźle, bo udało mi
się przez ruskiego brygadzystę - taki dziadzio - sprzedać moje oficerki;
przyniósł mi za nie trochę tytoniu, mleka, jakieś dwie cebule (tytoniem
to można było nieźle zahandlować). No więc zaczęły się choroby. Stawaliś-
my rano na apel, padała komenda - Chorzy wystąp! Chorzy stawali na skrzy-
dle baraku. Pamiętam był taki ruski lejtnant, tak ~~xxxx~~ z metr piędziesiąt
się w kapeluszu, w białym koczuszku. Obok niego chodził, chyba jakiś ko-

~~Sanitariusz~~ ^{pacjent} niemiecki, Cyliński (doskonale pamiętam nazwisko, po polsku dobrze mówił, ale był Niemcem). I tak obaj idą, liczą chorych, Ruski ich liczbę spisywał na drewnianej desce (u nas na takich tłucze się kotlety). I nagle jak się nie zdenerwuje, jak złapie za tę deskę i po głowach nią. A Cyliński za nim; kopią, biją... Bractwo się rozbiegło, nie ma chorych, i wszyscy do roboty.

Pamiętam, w nocy złapała mnie biegunka. Rano idę do lekarza - był nim Niemiec. A ten woła na sanitariusza, by szedł ze mną do klozetu i sprawdził, czy nie symuluje. Poszliśmy, a tu nic. Wracamy do lekarza, i nagle zaczyna mnie gonić. Znowu biegniemy z sanitariuszem, który wreszcie potwierdził u mnie biegunkę. Zaprowadzili mnie do baraku. A tu wśród potwor-ny. Bractwo leżało, pod siebie robiło - już prawie trupy...

Dowiedziałem się, że się szykuje transport do szpitala. Dałem sanitariuszowi resztkę tytoniu, żeby mi taki transport załatwił. Wsadzili nas wreszcie na samochody. Przyjeżdżamy do... Jegołska. Ta sama ^{pacja} przyczyna, na obiad dali nam kapuśniak, a tu wszyscy z biegunką. Nic nie jadłem. Zaopiekowali się mną koledzy, ale i tak nie było żadnych leków, nawet polscy lekarze nic nie mieli, a jeśli już zdobyli jakieś lekarstwa, to i tak w znikomych ilościach. No więc otoczyli mnie opieką koledzy. Przyrzędzali mi ^{wszel} napary z drzewa brzoźowego, spalali skórki od chleba... I jakoś człowiek doszedł do siebie... Ale było to okropne. W nocy się budziłem, bredziłem w gorączce, ten obok mnie ^{franc} już trup, ^{i tak co rok.} (po chorobie nie mogłem sam chodzić, z baraku wszedłem na czworakach. Chorowałem w sumie około trzech miesięcy. Jako więzień z dystrofią poszedłem na odżywianie.

Przyszła wiosna. Pamiętam siedzę z kolegami na trawie, trochę na słońcu się grzejemy, bo ozdrowieńców nie pędzili do roboty. Co najwyżej sadziliśmy kartofle: ciągnęliśmy pług, pamiętam - ciągnął ze mną ten słynny fotograf Hartfig. Była to dobra robota, bo do syta mogliśmy najieść się kartofli; piekliśmy je, smażyliśmy... No i tak jednego dnia sobie siedziemy, a tu gonią grupę oficerów niemieckich. Wszystko bractwo z medalami, krzyżami, plecakami, każdy miał drugą parę butów. Usiedli niedaleko od

nas, zaczęli jeść, chleb smarować, a Ruskie tylko te suchary... 'omyślałem sobie - oj, szybko się z wami załatwią. No i po kilku miesiącach nie można ich było poznać.

Wśród nich był ksiądz. Wśród Polaków też był, ale ujawnił się chyba dopiero po okresie kwarantanny. Polski ksiądz nazywał się chyba Korneluk (pochodził z Kąkolewicy i miał około 40 lat). Nawigzali ze sobą kontakt. Zaczęły się nabożeństwa w każdą niedzielę.

Zapisałem się do brygady wywożącej szambo z obozu. Dzięki temu mogłem wychodzić poza obóz. Na pobliskiej łące rosła łoboda, szczaw i już można było sobie uzupełnić menu. Z tymi roślinami obozowa zupa była bardziej gęsta. Później pracowałem w ekipie wozowodów, bo na terenie obozu nie było wody, *а купание и с 2 недели. На 15-е ушли вешние палатки.*

Udryka była łaźnia (w Borwiczach zresztą to samo). U Ruskich wszystko musi być kulturno - trzeba się myć, ale co to za mycie w takich warunkach! Każdy dostawał miskę z trzema litrami wody (prysznicze były, ale oczywiście nie działały). Najgorzej było w zimą zimie, barak bardzo cienił, piece porobione z beczek po benzynie rozgrzane do czerwoności, ale kilka kroków dalej było bardzo zimno. A trzeba się było rozebrać do naga. Jeszcze w czasie kwarantanny nie było nawet fryzjera, każdy miał brodę, wąsy. Później jak brali nas do roboty, każdy musiał się wszędzie ogolić, nawet po pachami, na kulturę. Były też odwieszalnie, te słynne ruskie odwieszalnie! Dawano się całe ubranie, wody zdziębęłko, człowiek się pochłapał, a tu ani ręcznika, ani szmaty - ubranie musiało tam być przez jakieś 20 minut. W lecie nie było już tak źle. *Летом дождливые бушуют мы уходят прееа.*

Niektórzy próbowali uciekać. Zresztą ucieczki z góry były stracone. Każdy człowiek idąc ze wsi do wsi musiał tam mieć przepustkę. Wartę pełniły kobiety z karabinami. A każdy z uciekinierów prędzej czy później musiał zejść do jakiejś wsi, ^{z płodu} no i go łapali, bo ludzie tam wystraszeni straszliwie. W 45r. na wiosnę ze względu na te ucieczki zabrano nam ubrania cywilne i dano niemieckie drelichy. Niemcom dali tabliczki z WP - wojenno pniennyj, nam też takie chcieli poprzyczepiać, ale nie zgodziliś-

my się, dali nam więc tabliczki I - internowany, ~~„A”~~ „N”.

W osobnej części obozu były kobiety. Mieszkały w dodatkowo ogrodzonym baraku. Za zbliżenie się do tej części groził karak. x bunkier. Tak więc kontaktu z kobietami prawie nie było.

Wiosną 45 zaczęło organizować się trochę jakby życie obozowe. Wielkie zasługi miał tu pan Tadeusz Raczkowski (obecnie ma 55 lat, mieszka w Lublinie). Z niczego zrobił jakieś instrumenty, powstała orkiestra, chór. Bractwo śpiewało, robiliśmy jakieś monologi, skecze. Zdania o organizowaniu w obozie życia kulturalnego były mocno podzielone. Jedni twierdzili, że jest ono nam niepotrzebne, skoro jesteśmy głodni, inni natomiast - że to już coś jest, że może nam to pomóc, skoro nasze rozmowy towarzyskie sprowadzały się stale do wspomnień o dobrym jedzeniu... Wojna się kończyła (stale nam mówili, że już wkrótce pojedziemy do Polski). Raz nawet dostaliśmy po prześcieradle i wtedy panie zrobiły sobie ładne suknie, panowie powkładali mundury wojskowe. Mówię tu o osobach, które pełniły w obozie różne funkcje, bo ci jeszcze mieli siłę i ochotę. No więc, jak razura zatańczyli, poloneza! Można powiedzieć, że powstał jakby klub, ale jeszcze raz powtarzam - tylko dla funkcyjnych. Zorganizowane zostały nawet zawody sportowe, ale też dla funkcyjnych, bo inni to nogą ruszyć nie mieli siły.

Kiedyś wygonili nas wszystkich, bo okazało się, że rzeką płynie drzewo. Poszli i Polacy, i Niemcy. Zaczęliśmy łapać te belki, a tu nagle pojawili się jacyś Ruscy i zaczęli się jebać z naszą komendanturą, że drzewo jest ich, że my je kradniemy. Ale później i dla nas zaczęło spływać drzewo. Zorganizowano brygadę do zbudowania tamy. Udało mi się do niej dostać. *nie ma na zewnątrz.*

Filmował nas dziadek konwojent z karabinem. Tylko nam mówił - Chiopaki, nie uciekać, niech każdy z was chodzi, gdzie chce, tylko nie uciekać, bo miałbym przez was straszne nieprzyjemności, i tak nie ma gdzie uciekać. *Dzadek przeważnie żył w bliskiej odległości od Lenińskiego i zwał ujęcie.*

Mieliśmy ze sobą łódkę, pływaliśmy na drugą stronę rzeki, a tam: *baraki,*

kartofle, i kapusta. Gotowaliśmy to wszystko, dziadek jadł z nami. Któregoś dnia ostrzegł nas, byśmy nie płynęli na tamten brzeg, ^{bo} zrobili na nas zasadzkę. Poszliśmy więc kraść na pole obozowe, którego pilnowali Niemcy... z pałkami chodzili.

Byli to przeważnie Niemcy z Wehrmachtu i z żandarmerii. Nawet, pamiętam, jeden z naszych rozpoznał jednego Niemca, który znęcał się nad nim w jego rodzinnej wsi - poszło to do Ruskich, ale jakoś się rozeszło. Niemcy z Ruskimi nie umieli nawiązać kontaktu, chodziło głównie o język. Polacy zaś zawsze jakoś się dogadywali, zresztą z Ruskimi handlowaliśmy, biorąc uprzednio od Niemców różne rzeczy, które im jeszcze zostały.

Ruski Niemców może trochę lepiej traktowali, ale pamiętam, jak w zimie 45/46 wychodziliśmy z obozu po wodę... Zaraz na górze była trupiarnia i trupy niemieckie tak rzucali na sanie i gdzieś wieźli do rowów.

Między Polakami i Niemcami niewiele było kontaktów, może te handlowe najbardziej. Nienawiść między nami była odczuwalna, lecz nie przypominam sobie, by dochodziło pomiędzy więźniami do aktów przemocy. Raz wyszliśmy nas Ruscy do innego łagru, nazywał się Waldlager - Leśny obóz. Siedzieli tam Niemcy i Węgrzy. Poszło nas 10-15, mieliśmy ze sobą kucharza, to był jakiś inżynier. Od razu Niemcy się spostrzegli, że nie okradają nas z jedzenia, więc było nam całkiem niezłe. Zaraz zgłosili to do ruskiej komendantury i musieliśmy jeść razem z nimi. Rozbieraliśmy w tym obozie dom, na którego belkach po rusku było zapisane, że taki a taki został tu zakliuczony ^(i kłodowat). Rozbieraliśmy ten dom, ale był to dla nas interes uboczny, głównie chodziliśmy na kartofle i na grzyby do lasu. Wtedy właśnie miał miejsce pewien incydent. Zabrakło dla nas konwojenta ruskiego i przydzielili nam niemieckiego, pałkaczali mu zabarać, by nas dobrze pilnował. My na to się nie zgodziliśmy - posadzili za to do bunkra naszego komendanta. Ale jakoś tam przez dzień byliśmy z tym niemieckim konwojentem. No więc rozbieraliśmy ten dom, a tu ruska komisja przyjeżdża i do nas z gębą, co z nas ze fachowcy, że ten dom rozwalamy, a nie dokładnie rozbieramy. A ^{to} by tam z nas nosił takie beły!... Ale nic nam za to nie zrobili.

Jeszcze powrócę do odprawiania mszy świętych. Zaczęły się tak na wiosnę 45. Folak odprawiał dla nas, a ksiądz niemiecki u swoich. ~~Raz~~ (odprawiona została msza w baraku dla chorych i dystrofików. Kto chciał, tam przychodził, bo ci nie mieli siły stamtąd się ruszyć. Byli ministranci, ksiądz miał ornat i swoje przybory (początkowo sąszalem, że to od Ruskich, po popach, ale później ktoś mówił, że rzeczy wypożyczył ksiądz niemiecki). Na msze sporo ludzi przychodziło, w każdą niedzielę.

Nie wiem, czemu nabożeństwo w Wigilię 45 było odprawiane przez księdza niemieckiego. Jedna z pań tłumaczyła kazanie, w którym ksiądz powiedział, że jesteśmy w kraju zakłamania i zakłęcia ludzkiego, że jest okazja w takie święto jak Boże Narodzenie przystąpienia do stołu Pańskiego... Tardzo mnie to wzruszyło (P. Jan płacze, choć przez cały czas opowiadania zachowuje dosyć pogodny nastrój, czasami wręcz żartuje). Udzielił nam absolutorium (zbiorowa spowiedź) i przystąpiliśmy do komunii.

Na jesieni 45 poszliśmy raz do chowchozu, były tam jakieś suszarnie lnu. Wewnątrz siedziały trzy kobiety starsze. Zaczęliśmy rozmawiać. Kto wy? Polacy. Co tam w Polsce? Mówimy, że teraz to panom odbierają ziemię i oddają ją chłopom. A jedna z nich - U nas to samo było, a my, durne, brali, a potem i tak wszystko nam zabrali. Chodź, pokażę ci swój dom. Poszedłem. Izba niewielka, piec, na którym spała, ława, stół, gazetami wyklejone ściany, dwa zdjęcia synów - jeden w marynarce, zginął, a drugi był gdzieś na froncie. Wyprowadziła mnie za chałupę. O, widzisz - mówi - to było kiedyś moje pole, a teraz chołchożne, i teraz nie mam już nic.

Z naszym brygadystą dziadkiem też czasami rozmawialiśmy. Dziadku, a kiedy było lepiej, teraz czy kiedyś? Za cara było dobrze - mówił - teraz jest też dobrze. Jak kto dziś ma krowę, to dobrze ma, jak dwie krowy, to on już teraz żyje!...

W lecie 45r. przyjechała ekipa NKWD. Nazywaliśmy ich badaczami pisma, bo znowu zaczęli nas wołać i ~~przek~~ badać. Szybko się zorientowałem, że ci, którzy teraz nie przyznawali się do AK, a wcześniej w kraju im to powiedzieli, szybko szli do bunkra. Przyszła na mnie kolca. Siedzi młody facet. Zmarisz? Da. Pyta się o wszystko. Do AK się przyznają. A kto twój ojciec?

- pyta. Ojciec przed wojną był starszym sierżantem, a w czasie wojny
wypracował jako dozorca w cukrowni, więc mu mówię - że robotnik. On do
mnie - Ty, syn robotnika, a w pańskim wojsku służyłeś! Ja mu na to, że
walczyłem z Niemcami od 40 roku, a gdzie polscy komuniści wtedy byli.
Podpisałem protokół i poszedłem.

od nowu schowany instruktor.

I znowu nam mówią, że wojna się skończyła, że do domu pojedziemy...
W tym czasie na terenie obozu stawaliśmy nowe budynki. Głina mieszana
z siewką (był nawet koń, który to wszystko mięsił). Z tego robiliśmy
cegły, które schły na słońcu, nie wypalano ich nawet. Któregoś dnia -
pamiętam - byłem już taki zmęczony ciągnięciem załadowanych tą niby cegłą
wozów, tak mi to wszystko obrzydło, w dodatku nie dostaliśmy chleba, tak
że nie miałem się powłóczyć nogami. Namówiłem kolegę, byśmy nie poszli
do roboty. Schowaliśmy się. Zaczęli nas szukać, bo brakowało ludzi do
wozu. Znaleźli nas, do komendanta, ^{rushyjs} a ten - Do bunkra ich, chleba im nie
dać! Trzeba było paski od spodni oddać i na głodnego siedzieć. Ale kum-
ple przynieśli nam trochę chleba; w bunkrze tylko raz dziennie dawali
jedzenie. Rano przychodził cieć, wypuszczając nas na chwilę, by wyrzucić
z wiadra. Ale i tak nie było najgorzej, bo do roboty nie trzeba było iść.
No więc między sobą tak trochę sobie pomagaliśmy, ale - o ile sobie
przypominam - nie było jakiś prób zorganizowania się. Ludzie byli jacyś
otępieni. Zresztą funkcyjni... (^{o tym} pisze w książce "Trzy lata wykreś-
lone z życia" [Paryż] Jan Dzięduszycki). No więc ci funkcyjni, jak się tyl-
ko dorwali do tych funkcji, to już na ludzi inaczej patrzyli..., tyle
ukraść i tyle. To tylko to życie kulturalne było jako tako organiza-
ne.

Informatorów donosicieli też nie było wielu. Formalnie wiedzieliśmy
o dwóch; jeden to Żyd - Strzałkowski, drugi nazywał się Kiliszczuk - ten
siedział jeszcze w latach 30-tych. Jako komunista mocno działał na Ukra-
inie wśród Polaków. Gdy Stalin ścisnął Polaków, wywieźli go na zesłanie,
a przed samą wojną wypuścili. Później pracował w PKWN, bo znany był pol-
skim komunistom, został komendantem UB na Krasnystaw i Kraśnik. Potem

podpadł znowu i wywieźli go razem z nami. Właściwie nie był kapusiem, ale takim kulturalno-oświatowym - dostawał gazetę, przychodził, przeczytał. Był to "Żołnierz Wolności". Na przykład obieraliśmy kartofle, przyszedł i krzyczał, pamiętam raz czytał o generale Okulickim, jaki to był wróg socjalizmu, że wywieźli go do Moskwy, by tam postawić go przed sądem. W sumie ten Kiliszczuk był spokojny. Jeszcze żyje, ma teraz 90 lat, napisał nawet wspomnienia. Zresztą takich donosicieli to chyba nie było. Bractwo ^{6.} tak chodziło... Dowództwo ruskie nie musiało za bardzo się nami przejmować. Iano liczenie, wieczorem liczenie...

Pamiętam była taka głupia mania pisania zbiorowych petycji do władz PKWN-owskich, żeby przyjechali i zobaczyli, w jakiej my nędzy żyjemy... Nikt nie przyjechał. Z Czerwonego Krzyża też nikt. Podobnie w sprawie więźniów niemieckich też nigdy nikt nie przyjechał.

Późną jesienią 45 zaczęli powracać do Polski jako pierwsi Polacy, którzy zostali siłą wcieleni do wojska niemieckiego. Po Bożym Narodzeniu na wyczytywanej liście znalazłem się i ja. Ale i tak nikt Buskim nie wierzył. Stale nam przecież obiecywali powrót. Ale któregoś dnia zwołują nas wszystkich na apel. Zaczęli oglądać nasze ubranie. To wszystko szmaty - mówią - trzeba je do magazynu, tam dostaniecie nowe ubranie. Miałem watowane spodnie, waciak, płaszcz niemiecki, buty podarte... "yślę sobie, co będę wymieniał, szmatami buty owinę i starczy, byle do domu. Wyczytali nas tylko część, a do magazynu nie poszedłem, bo trzeba było tam stać kilka godzin.

Potem gruchnęła wieść, że depozyty oddają... Ale co tam było! Jeden zepsuty zegarek, dwa portfele - na kilkanaście tysięcy ludzi! Coś zaczęło świtać - to chyba do domu! Ale co do innych, nic nie wiadomo, nie wołają.

Był już luty 46. Znowu apel, ale tylko my - wyczytani wcześniej. Zaczynają nas oglądać. Jak mnie zobaczył Buski, to - job twoja mać, w jakich ty butach chcesz jechać do domu, toż to przecież szmaty. Musisz się jakoś pokazać! I do magazynu mnie. Tam stos butów. Kilku nas zagonił, a tu już

krzyczą, że wychodzą za bramę. Złapałem jakieś buty i szybko dalej na bosaka, by tylko nie zostać *za drzwiami!*

I wyszliśmy. O, teraz to było kulturalnie... Już nas nie bili kolbami karabinów. Ktoś nie mógł iść, a było kilka kilometrów, to Ruski - Pan, pomóż koledze. Przyszliśmy do pociągu. W wagonach nary piętrowe porobione, piecyk i drzewo. Także mieliśmy już całkiem inaczej. Jechaliśmy przez dwa tygodnie. Obstawa grzecznie do nas się odnosiła, tzn. bez porównania grzeczniej niż w obozie, chociaż stale już w nic nie wierzyliśmy...

Patrzmy - Grodno. O, to już, panowie - krzyczymy - wrony polskie, wróble polskie! *Miję Ty radości, sierżantem my?*

Pamiętam, na jednej stacji zabrakło nam drzewa do palenia. Konwojenci kazali nam nakraść go z jakiś dwóch wagonów stojących na boczniczy...

W rzeczywistości spełniliśmy polecenie. Wagon, całe puste.
Wreszcie przyjechaliśmy do Brześcia i tu przerzucili nas do polskich wagonów. Trafiłem do wielkiego wagonu - zimno jak cholera! A to był już koniec lutego. Kiedy nas przeprowadzali, widziałem, jak daleko Ruski gonili własowców, zapewne do tych wagonów, którymi przyjechaliśmy. Krzyczymy do konwojenta, że pomarniemy, a on - Niczewo, niczewo... Przyszła noc, mróz. No, panowie [?] mówimy - nie możemy na granicy zamarznąć. Ustawiliśmy się w koło i całą noc chodziliśmy, biegaliśmy po wagonie. Nad ranem pociąg ruszył.

Terespol. Ludzie stoją na rampie. Okienka w wagonie otwarte. Ktoś podaje paczkę fajek, ale gdzie tam - 50 rak i nie ma papierosa ani jednego. Nie mieliśmy nic do jedzenia... pojawił się kawałek chleba.

Wypuścili nas dopiero w Białej Podlaskiej, zaprowadzili nas do szkoły. Tam znajdował się taki punkt, w którym fotografowano nas z jednej i z drugiej strony. Każdy otrzymał zaświadczenie o repatryjacji. *z przesyłką, a nie o powrocie z deportacji*

Przyjechałem jak truposzczak, choć przed tem nieźle wyglądałem. Byli tacy, których ledwo udało nam się dowieźć, ale w naszym transporcie chyba nikt na szczęście nie umarł.

Ilu nas powróciło? Dokładnie do dzisiaj nie wiem. Obliczam, że zginęło spośród nas około 1/3. Zresztą ci, którzy zostali w Jegówsku, pojechali na Sybir, do Świerdłowska. Była to grupa wybrana chyba przez NKWD - pisze

o tym pan Dzeduszycki. Pamiętam, że w tej grupie wywiezionych dalej był mój przyszły szwagier, oficer AK, rękę nawet stracił w akcji "Durza". Nasz ksiądz też chyba został wywieziony.

Pamiętam, że po powrocie do domu przyszli ze mną jedna pani i młody chłopak. Oboje byli z Rzeszowskiego. Ojciec tego chłopaka miał chyba przed wojną fabrykę serów. Nazwisk ich nie pamiętam, a bardzo chciałbym się z nimi spotkać...

* * *

Co mi pozwoliło przeżyć obóz?

Chyba wiara mnie utrzymała, pozwoliła mi to wszystko przeżyć... Byłem przekonany, że wrócę... Moje przekonania religijne...(w tym miejscu p. Jan płacze).

Nauczyłem się niejednego. Nie przypominam sobie, bym czuł nienawiść do żołnierzy radzieckich - żołnierz to żołnierz - czułem raczej nienawiść do tego ustroju.

Dam taki przykład. Pewnego razu ciągnęliśmy wóz. Konwojowało nas dwóch młodych chłopaków, ruskich żołnierzy, mieli może 16-17 lat. Trochę rozmawialiśmy z nimi, opowiadamy im, że u nas na targach handluje się słoniną, chleb można kupić, mięso... Oni na to, że my kłamiemy, że u nas jest nędza. Oni przecież nawet sobie nie wyobrażali, jak człowiek powinien żyć! Nadchodzi jakiś lejtnant, pyta - Kto wy? Polacy. I zaczyna opowiadać, że przyjechał z Polski, że zostawił tam żonkę, bo ona nie chciała z nim jechać do Rosji. Ku wielkiemu zdziwieniu tych dwóch chłopaków potwierdza to, cośmy mówili... Inny przykład. Pewnego razu transportowaliśmy żywność dla Niemców, ciągnęliśmy wóz. Przyszliśmy nad rzekę i gwizdaliśmy z beczki wielką rybę. Jeden z Ruskich to zobaczył i zabrał nam tę rybę. Wracamy. Wcześniej ten Ruski poszedł do baby, sprzedał jej kawałek tej ryby za nachorke, a nam dał tylko łeb. Sam się wreszcie najadł do syta... Innym razem poszliśmy do Borowicz po drzewo. Koło cerkwi spotykamy stare kobiety (mężczyzn nie było; może bali się tam chodzić). Pomódlcie się za nas - mówią - wy, Polacy. Bractwo płakało, jak nie wiem. Koło tej samej cerkwi, innym razem, jakaś babcia mówi - Panowie, uwajcie, tu są krzyże, groby naszych

ludzi. Mówimy do niej, że my jesteśmy katolikami, że my to szanujemy.

Według mnie to ten naród nie jest zły, ale biedny, jest taki zastraszone, taki zgnieciony, że sam nic już nie wie.

Jeszcze w obozie sobie ~~przekazałem~~ przyrzekłem, że jeśli wrócę, to pójdę do Częstochowy i tam podziękuję.

Na zakończenie podam jeszcze taką informację, że w zeszłym roku w Łodzi mieliśmy pierwsze spotkanie byłych więźniów z Borowicz. Przyjechało nas dwudziestu kilku.

*tu doświadczyłem obywateli i ich uprzejmości
wielu autorów z obywatelami i ich uprzejmości*

Jan O. (z Lublina)

Jan Oroszko

*Poprawki ujemnym kolorem col red.
-proszę ko uwzględniać. Proszę o dołączenie
dokładny świadku*

Jan O. (z Lublina)

Urodziłem się 18.02.1923 w Lublinie, gdzie spędziłem całą młodość. Wojna zastała mnie jako ucznia IV klasy Gimnazjum Biskupiego w Lublinie. W 41 r. dowiedziałem się o istnieniu liceum budowlanego (tzn. ono istniało już przed wojną, a Niemcy zgodzili się na jego istnienie) więc zapisałem się. Zdałem egzamin z zakresu młodej matury i na jesieni 43 skończyłem. Równocześnie kończyłem kurs szkoły podchorążych AK.

Kiedy wkroczyli Sowieci, byłem w oddziale partyzanckim; w czasie akcji "Burza" II kompania VIII pułku piechoty, oddział podporucznika Nerwy (Wojciech Rokicki, ps. Nerwa). Działaliśmy na południe od Lublina.

Nasze spotkanie z Ruskimi tak wyglądało. Szliśmy w kierunku Lublina w czasie koncentracji I batalionu VIII pułku, którą to koncentracją dowodził kapitan Miet (Szmeding). 24-25.07.44 doszliśmy do miejscowości Polanówka (k. Zemborzyc). Jeszcze w czasie marszu na trakcie spotkaliśmy grupę młodych chłopców, których pytamy, skąd idą. A oni, że są z oddziału Kmicica i że ich Ruski rozbroili. Weszliśmy do Polanówki i tam już nas zatrzymali Ruscy, ale nie rozbroili nas. Zakwaterowaliśmy. Na drugi dzień zwołali taki mityng; kazali nam usiąść w kole a jakiś pułkownik czy podpułkownik przemawiał po rosyjsku (jako tłumacz wystąpił ~~nie~~ dowódca oddziału, Jemioła, cichociemny - Kosinski). Ruski powiedział, że wojna się kończy, że Sowieci przyszli nas wyzwolić, i pyta nas, czy chcemy iść do wojska polskiego. My, że chcemy. ~~Złożcie broń~~ - on na to - i pod konwojem naszych żołnierzy pojdziecie do ~~określenia~~ *określenia*. Ale warunkiem wstąpienia do wojska było złożenie broni, a przecież dla każdego z nas posiadanie własnej broni było wielkim zaszczytem, wielką rzeczą. Dowódcy naszych oddziałów (były tam oddziały Rysia, Nerwy i Jemioły) powiedzieli nam, tak jak i mój dowódca, że kończy się partyzantka, zwalniamy nas z obowiązku służbowego i kto chce i jak chce, może odejść. Następnego dnia rano miał nastąpić wymarsz. Przez cały ten czas żołnierze radzieccy byli jakby z boku, w ogóle z nami nie rozmawiali. Oficerów było kilku, ale z nimi też jakos ciężko szło. Jeszcze wcześniej, jak szliśmy, pytali nas: kto wy, Kosciuszkwowcy? Oni chyba nie wiedzieli, kim jesteśmy. Tak więc ci oficerowie też byli z boku; nie chcieli z nami rozmawiać, ale też nie zachowywali się agresywnie.

Rano kilku z nas przebrało się, jak kto mógł, i poszliśmy nad Bystrzycę. Jakis Ruski poił tam konie i zatrzymał nas, legitymować chce. Ale nie umiał on przecież po polsku czytać... Niektórzy z nas mieli fałszywe kenkarty, jeden pokazał mu nawet jakiś bilet kolejowy. Obejrzał i puścił nas. Poszliśmy do Lublina. Okazało się, że z tych trzech oddziałów u Ruskich zostało z 10 chłopaków, zdecydowana większość uciekła, włącznie z dowództwem. Później mi opowiadano, że Ruscy wcale tym się nie przejmowali. My poszliśmy bez broni, nie wiem, jak pozostali. Cięższą broń pakowaliśmy do Bystrzycy, pistolety do chałup. Zresztą w jakies dwa miesiące tej broni już tam nie było.

zskłomę

Do Lublina wróciliśmy pod koniec lipca, wkrótce zaczęło się powstanie w Warszawie. Szybko więc zwołaliśmy się. Pamiętam, był magazyn broni porucznika Pokera, który z nami współpracował, i trzeba było szybko teren oczyścić. Jakos tam udało się nam zorganizować. Zaczęliśmy wydawać pismo humorystyczne "Wentylator" wraz z Lesławem Eustachiewiczem, pracownikiem naukowym Uniwersytetu Poznańskiego. *ps. Jęży*
też podchorążym. Któregoś dnia w sierpniu dostaliśmy polecenie stawienia się na placu koło WKR (czy RKU), gdzie obecnie stoi hotel "Victoria". Zebrało się ładnych parę tysięcy chłopaków, bo mieliśmy iść na pomoc Powstaniu Warszawskiemu; był przecież rozkaz generała Bora-Komprowski. Staliśmy tam dłuższy czas. Nagle przyszedł jakis *z kolumny obrony*
pan, Koledzy - mówi - rozejdźcie się, bo nasz generał został przez Ruskich właśnie aresztowany i nie będziemy szli na pomoc Powstaniu.

Zaczęły się aresztowania. Gdzieś ktoś wpadł... Otrzymaliśmy wówczas takie kartki, zaświadczenia stwierdzające, że ten i ten jest żołnierzem AK, że stemplem Komendy Miejskiej AK Lublin. Ja także dostaję takie pismo dla siebie i chłopaków z ^{mojego} plutonu. Właśnie jeden z nich, zdaje się został aresztowany; handlował na targu (w miejscu, gdzie teraz za Urzędem Miejskim jest skwer) i na targu go przytarli. Miał ze sobą to zaświadczenie... Przypominam sobie, że miał pseudonim "Kot". Znał mój pseudonim, wiedział, gdzie mieszkam, ale nie znał mojego nazwiska. Znał również pseudonim innego kolegi, ale nie znał ani nazwiska, ani jego adresu.

Mieszkaliśmy wówczas przy Przemysłowej, wchodziło się do kuchni, a z niej do pokoju. Któregoś dnia siedziałem przy stole, miałem nawet rozłożone zdjęcia z partyzantki... Ktoś wchodzi. Idę do kuchni. Jeden sierżant z bronią i cywil. Tego drugiego poznaję - taki gorębiarz z za cukrowni. Pytają się mnie, czy tu mieszka podchorąży Jacyna. Odpowiadam, że takiego nie znam. Miałem akurat lewą kenkartę z warszawskim adresem, ale oni i tak znali mój adres i chyba mieli mój rysopis. W tym czasie aresztowali sąsiada, więc mówię, że to może o niego chodzi, zresztą przed chwilą przyjechałem z Warszawy i nic nie wiem. Zabrali mnie.

Zawiezli mnie na UB, do dużego mieszkania na gorze, przy ul. Jasnej. Byłem obiadowany papierami... Zostawili mnie w przedpokoju, więc wszystko udało mi się zniszczyć. Za jakiś czas wołają, pytają znowu o tego Jacynę. Wchodzi jakiś cywil i znowu to samo, a ja też powtarzam swoją bajkę o aresztowanym sąsiedzie, że to on może jest Jacyna. Niech pan popatrzy - mówię - mam w porządku kenkartę... Poprosili, żebym podpisał oświadczenie, że nikomu nie powiem o co mnie pytali. I wypuścili.

Zacząłem się przez jakieś 2-3 tygodnie ukrywać po wsiach, u kolegów. Ale tam było strasznie - Ruskich tam siedziało w każdej chałupie chyba więcej niż w Lublinie. A każdy przecież wiedział, że ja jestem obcym człowiekiem, więc musiałem wracać do Lublina. Nawet trochę chodziłem z pistoletem.

Miałem kolegę (mieszkał przy Zachodniej, był już żonaty, miał małego chłopaczka), który w listopadzie zaproponował mi, bym u niego nocował. Wiedział, że w domu boję się nocować i bywam to tu, to tu. Któregoś dnia przyszli, i to nasza podchorążówka, polityczna ^{osobista}, chodzili po domach i sprawdzali zameldowanie, kto nie był zameldowany - zabierali. Był to niewielki domek, mój kolega mieszkał na poddaszu i akurat wziął na górę książkę meldunkową. Gdy przyszli, natychmiast jej zarządali, więc jego ojciec - na górę, a oni za nim. Tylko nas zobaczyli, od razu z automatami, no i dokumenty... Miałem w dokumencie trochę podrobioną datę - podrobiłem rocznik na 25, bo tego właśnie rocznika nie brali jeszcze do wojska. Zresztą mieliśmy już wyraźne polecenie naszego dowódcy, by dekowac się, kto gdzie może, bo ciężko jest i nie wytrzyma się. Miałem nawet przy sobie załatwione po znajomości skierowanie do wojska. No i akurat tej nocy przyszli i zabrali do mieszkania przy Skłodowskiej; tam już było NKWD, i berlingowcy. Ludzi tam było od pioruna, straszliwie ciasno. Nad ranem zaczęli wywoływać. Patrzą - stale ktoś niknie, w końcu zostało nas kilka osób. Mieszkanie było obstawione Ruskimi, jeden z karabinem tuż na schodach, a berlingowcy im pomagali: wprowadzali, wyprowadzali.

Wchodzę wreszcie i ja, a tam jak w prezydium - stoi, za nim jakiś cywil, Polak, i widac, że jakiś inteligentny gość. Razem z nim było jeszcze kilku Ruskich. Cywil spojrzął na moją kenkartę. To lewa kenkarta - od razu mówi. - Ileś za to zapłacił? Ja mu na to, że to legalna moja kenkarta, i chcę już wychodzić. Kapral pyta, co ze mną zrobić. Zatrzymać - pada odpowiedź. Zostaję ja i mój kolega.

W międzyczasie jeden z berlingowców pyta mnie, co jest. To był jakiś kresowiak. Mówi do mnie - szkoda pana, ja wiem, co się dzieje,

do Rosji wywożą. Będę miał służbę w nocy, to jeśli pan chce, niech pan skacze przez okno, a dalej niby służbowo pana odprowadzę.

Później przyszła żona mojego kolegi, płacze na korytarzu...

Znowu mnie wołają. Leży kartka - moje nazwisko i imię, a przy sobie miałem kenkartę na nazwisko Barcikowski Wacław czy Władysław. Pytają, jak się nazywam. Macie tu przecież napisane - mówię. No, widzisz, a my cię tak długo szukali. Po powrocie do pokoju mojego kolegi już nie zastanę.

Długo tak siedzę sam, przychodzi wieczor. Zgodnie z umową z żołnierzem, zacząłem przymierzać się do ucieczki. Idę do ubikacji; jest tam okno, to wyskoczę. Ale na dole kręci się jakieś towarzystwo wojskowe. Idę drugi raz - to samo. Za trzecim razem już zaczęło świtać, a ruski wartownik wchodzi na klatkę schodową i do mnie - A ty ubieżył? chcesz? Udamem, że nie rozumiem, a on już mnie zaciąga z powrotem.

Jeszcze nad ranem woja mnie major, NKWDzista. Przyjąłem taką zasadę, że będę mówił albo o zmarłych, albo o tych co już siedzą, albo zostali wywiezieni. Chcesz uciekać - do mnie. A gdzie tam, przecież wartownik tu stoi - mówię. A on na to - Ty zmęczony, nie spiesz dzisiaj. Zaprowadzili mnie do pokoju berlingowców, którzy spali na jakimś stole. Ruski mówi do kaprała - On po rusku nie rozumie, ale uważaj, bo chciał uciekać. Trzymajcie go między sobą. Wyciągnęli jakiegoś żołnierza ze grodka i kazali mi się kraść.

Już w dzień patrzę, a tu mój kolega. W drugim pomieszczeniu. Nie mogę się z nim skontaktować, bo w przejściu stoi żołnierz. Nagle nadleciał jakiś samolot, strzelanina, zamieszanie się zrobiło, więc szybko zdążyłem się zapytać kolegi - Gdzie ty byłeś? A w domu - odpowiada. To po cholereżę też przyszedł! Bo mam złożyć zeznanie w twojej sprawie. Durny!? - ja do niego. A bo wiesz - odpowiada - klucze od mieszkania tu zostawiłem, teczkę.

Później znowu przyszła jego żona - z obiadem. Zjecie - mówi - teraz razem, a potem twoja mama coś przysła i podzielicie się. Wchodzi dwóch NKWDzistów - jedźcie, jedźcie spokojnie. Ale już po chwili załadowali nas do osobowego samochodu.

Ci dwaj też wsiedli, jeden przy kierowcy z pistoletem, myśmy usiedli z tyłu, z pepeszą przy głowie. I tak nas zawieźli na Narutowicza; jest tam jakaś szkoła gospodarcza, w okolicy Górnej i Okopowej. Zaprowadzili nas na trzecie piętro.

Siedzi bractwo... Zaczynają pytać, a nie wiadomo przecież, kto szpicel, a kto swój. Ale zaraz okazało się, że prawie wszyscy to AK-owcy. Wieczorem wprowadzają mojego kolegę - Eustachiewicza ^{ps. Jerry}. Wiedziałem, że nasz punkt (chyba u państwa Osinckich) wpadł, ktoś sypał... Aresztowano tam bardzo dużo osób. Uznaliśmy, że się nie znamy.

Znowu przesłuchują nas NKWDziści. A skąd mam zaświadczenie AK-owskie? Komu je dawałem? Kto mnie do AK wciągnął? Raż tylko jeden z oficerów zamierzył się na mnie z pistoletem, bo zaczął znowu wypytywać... A gdzie jest ten i ten? A zginął. A gdzie? A na zamku siedzi. Mówi do mnie - Oj, młody jesteś, jakbyś tak prawdę powiedział, to byś do wojska poszedł polskiego. A mnie się wyrwało - Jak Boga kocham, już więcej nic nie wiem. A on wrzeszczy - Na chuj mi twój Bóg! I z naganem do mnie. Na białych niedźwiedziach - krzyczy - zginiesz!

Podzielili nas i na samochody ciężarowe. Siedzieliśmy na podłodze, między nogami jeden drugiemu. I tak do Sokółowa Podlaskiego.

Od razu się zorientowałem, że część ludzi nic nie miała wspólnego z AK. Był, na przykład, jeden żyd (Fejlski-Strzałkowski), który przyszedł z PKWN-em. Gdzieś poszedł na dziewczynki i zaraził się. Poszedł więc do lekarza, a tam kocioł i zamknęli go. Dali mu

litrowkę nadmanganianu, by sobie moczyć, i pojechał... Był też jakiś chłop, który do miasta przywiózł lekarzowi czy adwokatowi grzyby. Tam podobna sytuacja. Też pojechał...

No więc przywieźli nas do Sokołowa Podlaskiego. Miałem na szczęście dość dobre palto na kozuszkę i kolega mój też miał kozuch. I jakos trzymaliśmy się razem. Potem dołączyli do nas dwaj panowie spod Warszawy: doktor Kołodziej i podporucznik z wojska. Ten drugi był tylko w drelichach, miał jakiś płaszcz, a doktor Kołodziej miał ze sobą cienki prochowiec. A to był już przecież grudzień, więc jakos okrywaliśmy się razem.

Trzymali nas w poniemieckiej stajni, leżeliśmy bezpośrednio na podłodze. Była jakaś herbata, nie herbata z siana, coś tam niewiele do zjedzenia. Wieczorem zaczynają wywoływać i wyprowadzać. Strach padł na nas błąd - Sybir, białe niedźwiedzie. Odeszły 3-4 grupy, ale zaraz nas zawrocili. Wtem wchodzi do baraku wyższy rosyjski oficer, a bractwo do niego się rzuciło, bo to niby już nie wywozą, i dawaj go całować jak boga... Poszliśmy spać.

Raniutko od nowa znów nas wywołują, ładują na samochody. Jedziemy przez Sokołów, ludzi nie ma, za to wszystko obstawione, na rampie kolejowej karabiny maszynowe. Wszędzie Sowieci, polskich żołnierzy w ogóle nie ma. Stoją wagony towarowe, wszystkie połączone telefonem, na każdym wagonie z desek zbita budka dla wartownika.

Na każdy wagon zaradowali około 40 ludzi. W środku piecyk, wiadro mięsa wysypanego obok. Ruszyliśmy.

Jak tylko gdzieś pociąg się zatrzymywał, ^{na postój} natychmiast wpadali z karabinami, liczyli nas w ten sposób wiele razy. Z początku chcieliśmy uciekać. Byli z nami chłopcy z Białej Podlaskiej, znali więc teren. Ale starsi panowie zaczęli krzyzczeć, że my uciekniemy, a ich rozstrzelają.

W miarę ^{oddalania} posuwania się przynębenie wśród nas stale wzrastało. Najgorszy był ^{pragnienie} głód. Jeszcze dawali raz na dzień - suchary z chleba razowego, jakieś porzki szklanki kaszy na gęsto; pić się chciało po tych sucharach pierunsko. Kiedy prosiliśmy o wodę, otrzymywaliśmy odpowiedź: "Wody nie ma, bo wasi przyjaciele, Niemcy, wytruli wodę w studniach". Straszliwie byliśmy wykończeni. Na dodatek nie wypuszczali nas w ogóle, a za kibel służyła nam tylko dziura w wagonie.

Jeden z gości miał pas rupturowy i w nim przeschmuglował scyzoryk. Więc drzwiczkami od piecyka zaczęliśmy wrywać deski, a tym scyzorykiem łamaliśmy je - mogliśmy w piecyku trochę palić, bo miarę nie dawaliśmy rady.

Trochę sobie opowiadaliśmy. Pamiętam, jakiś chłopak ze wsi - jechał w samej bluzie niemieckiej, a mroź był duży - mówił, że trzymali go Sowieci w jakimś bunkrze, brali na przesłuchania. "Przyznaj się - mówią - żeś był w konspiracji". Zaprzeczał. To oni na to - "No widzisz, żebyś ty był, to teraz za bohatera byś uchodził, poszedłbyś do wojska, oficerem byś został". Chłopak im odpowiada - "A ten, no, z tamtej wsi, był i czemu on siedzi". - "A na chuj ci wiedzieć".

Panika w wagonach straszna, bo podjechaliśmy pod Ostaszów, ale powieźli nas dalej i 14 grudnia dojechaliśmy do stacji Baragoje, ^{Chłosta} Nowogrod Wielki, na południowy wschód od Leningradu.

I później do Borowicz (Uprawienie Borowicze 270/V), to takie nieduże miasteczko. Tam nas wysiedlili. Wyglądaliśmy okropnie, jak Murzyni. Tylko co wysiedlili, a bractwo zaczęło śnieg jeść. Kto był mądrzejszy, to wołał, że śnieg brudny, ale i tak wszystkim cholernie pić się chciało.

W sumie w naszym transporcie naliczyłem około 50 wagonów - można powiedzieć, że było nas około 3 tysięcy. W zeszłym roku dowiedziałem się, że nasz transport był drugim transportem z Sokołowa Podlaskiego. Jeszcze był lubelski w listopadzie, który ładowany był koło Monopolu

Chłosta (Chłosta)

Tytoniowego na rampie - przeważnie z więzienia lubelskiego na Świętoduskiej, ^{przez obóz} więzienie wojskowe. Później był jeszcze transport z Rzeszowskiego (Rzeszowszczyzna była tam licznie reprezentowana).

Uprawieni je Borowicze miały pod swoim zarządkiem kilka obozów, wszystkie radzieckie, jeszcze sprzed wojny. Uformowali nas w kolumny i zaprowadzili, jakieś 5 km od Borowicz, do jednego z nich we wsi Jegobsk (Joglo): nasz oboz był przy samej wsi, tzn. przy koźchozie (mieszkali tam chłopcy, a raczej same kobiety z dziećmi i starcy). Był to dosyć duży obszar, na bramie obozu napis: "Es lebt di Sigrejche # Rothe Armee" (Niech żyje zwycięska armia czerwona). Na terenie obozu była łaźnia, wieża ciśnienia - te wszystkie urządzenia zaniedbane,

nieczynne, zresztą nie było w obozie wody. Obok obozu cerkiewka ^{przez drogę} obozowy magazyn żywności. Miejsce położone nad rzeką Mstą (Msta). Baraki, każdy na kilkaset osób, całe zakopane w ziemi, tylko dachy wystawały. Wewnątrz 4 rzędy piętrowych nar, pod ścianami i przez środek baraku, i ciemny, wąski korytarz. Nie pamiętam, ile było tych baraków. Oczywiście wszystkie pozbawione były jakiegokolwiek urządzeń

^{0 ulikacja to był} Pamiętam pierwszą prowierkę - sprawdzanie. Komendant polski melduje komendantowi ruskiemu - Towarzysz lejtnant... A Ruski na to - Jaki ja twój towarzyszu! Ty mnie mów pan (grazdanin)! Ja nie jestem dla ciebie żadnym towarzyszem!

Straszne były pierwsze trzy miesiące. Wody pitnej praktycznie żadnej, bo wszystko było zepsute. Pchły to nic, ale wszy! Można je było bic tysiącami, a rąk nie było gdzie umyc; pluło się na paluchy i wycierało o ubranie, i znowu można było bic. Jedzenie: 600 gram chleba (więcej wody niż chleba), rano por szklanki gęstej kaszy, a obiad to 0,7-0,8 litra wody z liści kapuszcianych, na kolację znowu por szklanki jakiejś innej "zupki". Czasem dali nam kostkę, jak paznokiec, mydła, łyżeczkę cukru. Dzielenie tego wszystkiego to była prawdziwa ceremonia. Zaraz porobiliśmy jakieś wagi, fabrykowaliśmy noże - nic takiego nam nie dali. A jak zaczęli nas obrabiać... Zresztą od samego początku stale nam wszystko zabierali. Pamiętam, zaczęli ^{niec dowidziwy je uwarali} wabrać nam koce ^{niec dowidziwy je uwarali} i te później też je zabrali. Rewizje robili stale.

Ja na przykład miałem ze sobą święty obrazek (sw. Józef czy Jozafat). Jak go Rusek zobaczył, wyrwał mi i rzucił na ziemię. Ja do niego, aby mi go oddał, bo jest to dla mnie pamiątka. Wtedy wziął obrazek pod lampę i dokładnie zaczął go oglądać, jakby tam miały być jakieś szyfry. Ale oddał mi. Zresztą i tak obrazek mi gdzieś zginął czy zniszczył się... ^{rodzajnie}.

Zaczął zbliżać się święta Bożego Narodzenia. Jacyś optymiści zaczęli twierdzić, że nas wypuszczą do Polski, no bo to przecież święta, choinka. Poszła - pamiętam - plotka, że dadzą nam 10 deko słoniny. Przyszła Wigilia, a tu komenda - wszyscy z baraków! Mroz jak pieron! Rewizja w barakach i osobista. W sumie całą tę naszą pierwszą Wigilię spędziliśmy na mrozie.

Nie zorganizowaliśmy się w tę pierwszą Wigilię, zresztą wtedy jeszcze w ogóle nie było żadnego życia społecznego w obozie. Jakos żyliśmy bardziej osobno... Ale i tak każdy był stale zajęty. Trzeba było wykombinować sobie jakąś łyżkę, jakąś menażkę, by mieć w czym jesc. Robiliśmy wagi do wazenia chleba; to wazenie było prawdziwym nabożeństwem. Na cały barak świeciły się tylko dwie żarówki i żeby było widać, robiliśmy z drewnianych drzazg dodatkowe oświetlenie: jeden świecił, drugi ważył. Rano i na kolację dostawaliśmy wiadro jedzenia na dwudziestu, na obiad wiadro na dziesięciu - trzeba to było sprawiedliwie podzielić, bo bractwo głodne, tylko oczy wytrzeszczało.

Te trzy miesiące kwarantanny strasznie dały nam w kość, bo ani wyjść, ani porządnie zjesc. Kiedy się wyszło wieczorem z baraku, to zaraz strażnik podchodził i mówił - "Szukasz gwiazd, chcesz uciekać". I do bunkra.

W tym czasie trafiały się przypadki, że niektórych zabierali.

^{Ruch kolektyw} obkacja byłi wykłety doł z drogami bez ostrocy. Siednie losicy
oraz z Niemcami, Użnawu, Luta jemiecka Europa fu Była. Kuzia
urodowości o osobny baraku.
Charakterystyczne, że Inellze stada wiodł czejno s sprawiali
Niemcy
Jedna k. wazna rzecz, która pomogła. Nikt z was nie miał
żadnej sprawy sądowej ani żadnego wyroku. Tak bezprawnie
uzupełno się nad nami.

Przychodzili, wywoływali i kazali się zbierać. Czy to były jakieś interwencje, czy jakieś sprawy sądowe, nie wiem. Nikt nie wiedział, co się z tymi ludźmi stało.

Jeśli chodzi o kary. Cały oboz otaczają druty kolczaste z ostrzeżeniami, że tych drutów nie wolno przekraczać, przekroczenie karane śmiercią. Pamiętam, że w okresie kwarantanny jeden więzień uciekł. Zabili go, zwłoki przywieźli. Wygonili cały oboz, ^{na mrozie} żeby wszystkich postraszyć. Zresztą później też próbowali uciekać, ale to nigdy się nie udawało. Za podjęcie ucieczki wsadzali do bunkra.

Bunkier to był taki ziemny dom z dachem, małe okno bez szyby. Wewnątrz niewiele miejsca, pryzma. Raz tam siedziałem, ale to było lato, więc przyjemnie, bo chłodno i do roboty nie gonili. Ale w zimie było tam potwornie, całą noc trzeba było chodzić, by nie zamarznąć, a mrozu było ponad 40 stopni.

Gdy skończyła się kwarantanna, powiedzieli, że idziemy do roboty, że każdy będzie pracował w swoim zawodzie. Najpierw komisja lekarska. Przyszły trzy kobiety, chyba Rosjanki, i dwóch oficerów, też Ruski. Każdy więzień koło nich przechodził, ściągali portki i pokazywali, czy tyłek ma jeszcze peony, czy mu już się zapadł. Jeśli tyłek był peony, to się dostawało I kategorię, jeśli chuderlawy - II, III kategoria to już tzw. dystrofia. Więźnia z dystrofią trzeba było dokarmiać, bo następował już zanik mięśni i mogli umrzeć, więc go dokarmiali, by nadawał się jeszcze do roboty. Ja dostałem kategorię I i pomaszzerowaliśmy do Borowicz.

Oboz znajdował się tuż przed miasteczkiem, na wzniesieniu. Miasteczko wielkości może Lubartowa, tak około 5-6 tysięcy mieszkańców; niewiele pamiętam, bo w miasteczku w zasadzie nigdy się nie zatrzymywaliśmy, pamiętam tylko - stał oczywiście pomnik Lenina. Zabudowania obozowe były tu nieco lepsze, baraki wystawały trochę ponad ziemię.

Pytają się nas o zawody. Jakis pan mówi, że jest inżynierem budowlanym, mianowali go komendantem. Następny i ja byliśmy technikami budowlanymi. Pytają się nas o długość praktyki. Tamten mówi - 8 lat, ja - 4, więc zrobili go zastępcą kierownika, a mnie brygadzystą u cieśli. Zgłosili się nauczyciele, cieśle... Nauczycieli wyznaczali do pchania wozków z ziemią. Nam się udało, bo przydzielili nas do pracy w pomieszczeniu - była to chyba cegielnia. W pakamerze mieliśmy piecyk na drzewo. Robiliśmy tam trzonki do kilofów, do ropy dla tych, którzy pracowali na zewnątrz.

Mieszkaliśmy w obozie, ale do pracy wychodziliśmy do miasteczka. ^{W drodze} ~~przebiegliśmy przez bór, fawgę i oboz~~ Jakas baba miała pół litra mleka, druga ze trzy cebule, jakies pierogi, placki ziemniaczane. Wszyscy ubrani w walonki, w waciaki - kobiety i mężczyźni. ^{Taki był fawg bardzo ubogi.}

Długo w Borowiczach nie pracowałem, do Jegolska wróciłem bardzo chory. W Borowiczach wybuchła epidemia biegunki, potem tyfusu. Bractwo zaczęło mrzeć. Zachorowałem, mimo że miałem stosunkowo niezłe, bo udało mi się przez ruskiego brygadzystę - taki dziadzio - sprzedać moje oficerki; przynosił mi za nie trochę tytoniu, mleka, jakies dwie cebule (tytoniem to można było niezłe zahandlować). No więc zaczęły się choroby. Stawaliśmy rano na apel, padała komenda - Chorzy wystąp! Chorzy stawali na skrzydle baraku. Pamiętam był taki ruski lejtnant, tak z metr pięćdziesiąt w kapeluszu, w białym kozuszk. Obok niego chodził, chyba jakis komendant niemiecki ^{pomocnik}

t f

Cyliński (doskonale pamiętam nazwisko, po polsku dobrze mówi, ale był Niemcem). I tak obaj idą, liczą chorych, Ruski ich liczbę spisują na drewnianej desce (u nas na takich tłuście się kotlety). I nagle jak się nie zdenerwuje, jak złapie za tę dechę i po głowach nią. A Cyliński za nim: kopią, biją... Bractwo się rozbiegło, nie ma chorych i wszyscy do roboty.

Pamiętam w nocy zapała mnie biegunka. Rano idę do lekarza - był nim Niemiec. A ten woja sanitariusza, by szedł ze mną do klozetu i sprawdził, czy nie symuluję. Poszliśmy, a tu nic. Wracamy do lekarza, i nagle zaczyna mnie gonić. Znowu biegniemy z sanitariuszem, który wreszcie potwierdził u mnie biegunkę. Zaprowadzili mnie do baraku. A tu smród potworny. Bractwo leżało, pod siebie robiło - już prawie trupy...

Dowiedziałem się, że się szykuje transport do szpitala. Daję sanitariuszowi resztkę tytoniu, żeby mi taki transport ułatwił. Wsadzili nas wreszcie na samochody. Przyjeżdżamy do... Jegóbska. Tam samoprzysła, na obiad dali nam kapuśniak, a tu wszyscy z biegunką. Nic nie jadłem. Zaopiekowali się mną koledzy, ale i tak nie było żadnych leków, nawet polscy lekarze nic nie mieli, a jeśli już zdobyli jakieś lekarstwa, to i tak w znikomych ilościach. No więc otoczyli mnie opieką koledzy. Przyrzadzali mi ~~z~~ z drzewa brzoźowego, spalali skórki od chleba... I jakos człowiek doszedł do siebie. Ale było to okropne. W nocy się budziłem, bredziłem w gorączce, ten obok mnie ^{rano} już trup. ^{chorobie} chorobie nie mogłem sam chodzić, z baraku wyszedłem na czworakach. Chorowałem w sumie około trzech miesięcy. Jako więzien w dystrofią poszedłem na odżywianie.

Przyszła wiosna. Pamiętam siedzę z kolegami na trawie, trochę na słońcu się grzejemy, bo ozdrowieńców nie pędzili do roboty. Co najwyżej sadziliśmy kartofle: ciągnęliśmy plug, pamiętam - ciągnął ze mną ten słynny fotograf Hartwig. Była to dobra robota, bo do syta mogliśmy najść się kartofli; piekliśmy je, smażyliśmy... No i tak jednego dnia sobie siedzimy, a tu gonią grupę oficerów niemieckich. Wszystkie bractwo z medalami, krzyżami, plecakami, każdy miał drugą parę butów. Usiedli niedaleko od nas, zaczęli jeść, chleb smarować, a Ruskie tylko te suchary. Pomyślałem sobie - oj, szybko się z wami załatwią. No i po kilku miesiącach nie można ich było poznać.

Wśród nich był ksiądz. Wśród Polaków też był, ale ujawnił się chyba dopiero po okresie kwarantanny. Polski ksiądz nazywał się chyba Korniluk (pochodził z Kąkolewnicy i miał około 40 lat). Nawiązali ze sobą kontakt. Zaczęły się nabożeństwa w każdą niedzielę.

Zapisałem się do brygady wywozającej szambo z obozu. Dzięki temu mogłem wychodzić poza oboz. Na pobliskiej łące rosła łoboda, szczaw i już można było sobie uzupełnić menu. Z tymi roślinami obozowa zupa była bardziej gęsta. Później pracowałem w ekipie wozniaków, bo na terenie obozu nie było wody. *а черпав из реки. На тече росли вишня, яблоня, как у нас*

Udręką była łaźnia (w Borowiczach zresztą to samo). U Ruskich wszystko musi być kulturowo - trzeba się myć, ale co to za mycie w takich warunkach! Każdy dostawał miskę z trzema litrami wody (prysznicze były, ale oczywiście nie działały). Najgorzej było w zimie, barak bardzo cienki, piece porobione z beczek po benzynie rozgrzane do czerwoności, ale kilka kroków dalej było bardzo zimno. A trzeba się było rozebrać do naga. Jeszcze w czasie kwarantanny nie było nawet fryzjera, każdy miał brodę, wąsy. Później jak brali nas do roboty, każdy musiał się wszędzie ogolić, nawet pod pachami, na kulturę. Były też odwyszalnie, te słynne ruskie odwyszalnie! Dawano się całe ubranie, wody zdziebeńko, człowiek się pochłapał, a tu ani ręcznika, ani szmaty - ubranie musiało tam być przez jakieś 20 minut. *←*
W lecie nie było już tak źle. *Знавшие лесотропы тулы się wósti паса.*

Niektórzy próbowali uciekać. Zresztą ucieczki z góry były stracone. Każdy człowiek idąc ze wsi do wsi musiał tam mieć przepustkę. Wartę pełniły kobiety z karabinami. A każdy z

uciekierow prędzej czy później musiał zająć do jakiejś wsi, no i go rapali, bo ludzie tam wystraszeni straszliwie. W 45 roku na wiosnę ze względu na te ucieczki zabrano nam ubrania cywilne i dano niemieckie dreluchy. Niemcom dali tabliczki WP - wojenno plemienny, nam też takie chcieli poprzyczepić, ale nie zgodziliśmy się, dali nam więc tabliczki I - internowany, ^{z głodu} ~~WP~~

W osobnej części obozu były kobiety. Mieszkały w dodatkowo ogrodzonym baraku. Za zbliżanie się do tej części groziła bunkier. Tak więc kontaktu z kobietami prawie nie było.

Wiosną 45 zaczęto organizować się trochę jakby życie obozowe. Wielkie zasługi miał tu pan Tadeusz Raczkowski (obecnie ma 85 lat, mieszka w Lublinie). Z niczego robił jakieś instrumenty, powstała orkiestra, chor. Bractwo śpiewało, robiliśmy jakieś monologi, skecze. Zdania o organizowaniu w obozie życia kulturalnego były mocno podzielone. Jedni twierdzili, że jest ono nam niepotrzebne, skoro jesteśmy głodni, inni natomiast - że to już coś jest, że może nam to pomóc, skoro nasze rozmowy towarzyskie sprowadzały się stale do wspomnień o dobrym jedzeniu... Wojna się kończyła (stale nam mówili, że już wkrótce pojedziemy do Polski). Raz nawet dostaliśmy po

Kiedyś wygonili nas wszystkich, bo okazało się, że rzeką płynie drzewo. Poszli i Polacy, i Niemcy. Zaczęliśmy rapać te belki, a tu nagle pojawili się jacyś Ruscy i zaczęli się jobać z naszą komendanturą, że drzewo jest ich, że my je kradniemy. Ale później i dla nas zaczęto spływać drzewo. Zorganizowano brygadę do zbudowania tamy. Udało mi się do niej dostać ^{niezwykle zmianę}

Pilnował nas dziadek konwojent z karabinem. Tylko nam mówił - "Chłopaki, nie uciekać, niech każdy z was chodzi, gdzie chce, tylko nie uciekać, bo miałbym przez was straszne nieprzyjemności, i tak nie ma gdzie uciekać". ^{Brateli przeszedł głodową blokadę Leningradu i zwał wojnę}

Mielismy ze sobą trochę, przywalismy na drugą stronę rzeki, a tam: i kartofle, i kapusta. Gotowaliśmy to wszystko, dziadek jadł z nami. Któregoś dnia ostrzegł nas, byśmy nie przynęśli na tamten brzeg, bo zrobili na nas zasadzkę. Poszliśmy więc kraść na pole obozowe, którego pilnowali Niemcy... z parami chodzili.

Byli to przeważnie Niemcy z Werchmahtu i z żandarmerii. Nawet, pamiętam, jeden z naszych rozpoznał jednego Niemca, który znęcał się nad nim w jego rodzinnej wsi - poszło to do Ruskich, ale jakos się rozeszło. Niemcy z Ruskimi nie umieli nawiązać kontaktu, chodziło głównie o język. Polacy zaś zawsze jakos się dogadywali, zresztą z Ruskimi handlowaliśmy, biorąc uprzednio od Niemców różne rzeczy, które im jeszcze zostały.

Ruski Niemców może trochę lepiej traktowali, ale pamiętam, jak w zimie 45/46 wychodziliśmy z obozu po wodę... Zaraz na gorce była trupiarnia i trupy niemieckie tak rzucali na sanie i gdzieś wiezli do rowów.

Między Polakami i Niemcami niewiele było kontaktów, może te handlowe najbardziej. Nienawiść między nami była odczuwalna, lecz nie przypominam sobie, by dochodziło pomiędzy więźniami do aktów przemocy. Raz wysłali nas Ruscy do innego łagru, nazywał się Waldlager - Lesny oboz. Siedzieli tam Niemcy i Węgrzy. Poszło nas 10-15, mieliśmy ze sobą kucharza, to był jakiś inżynier. Od razu Niemcy się spostrzegli, że nie okradał nas z jedzenia, więc było nam całkiem niezłe. Zaraz zgłosili to do ruskiej komendantury i musieliśmy jesc razem z nimi. Rozbieraliśmy w tym obozie dom, na którego belkach, po rusku było zapisane, że taki a taki został tu zakluczony ^{niezwykle zmianę}. Rozbieraliśmy ten dom, ale był to dla nas interes uboczny, głównie chodziliśmy na kartofle i na grzyby do lasu. Wtedy właśnie miał miejsce pewien incydent. Zabrakło dla nas konwojenta ruskiego i przydzielili nam niemieckiego, parę kazali mu zabrać, by nas dobrze pilnował. My na to się nie zgodziliśmy - posadzili do bunkra naszego komendanta. Ale jakos tam przez dzień byliśmy z tym

BRAN
Lublin
1945

ruski
Betrak

niemieckim konwojentem. No więc rozbieraliśmy ten dom, a tu ruska komisja przyjeżdża i do nas z gębą, co z nas za fachowcy, że ten dom rozwalamy, a nie dokładnie rozbieramy. A kto by tam z nas nosił takie bełki!... Ale nic nam za to nie zrobili.

Jeszcze powrócę do odprawiania Mszy świętych. Zaczęły się tak na wiosnę 45. Polak odprawiał dla nas, a ksiądz niemiecki dla swoich. ~~Na~~ Odprawiona została Msza w baraku dla chorych i dystrofików. Kto chciał, tam przychodził, bo ci nie mieli siły stamtąd się ruszyć. Byli ministranci, ksiądz miał ornat i swoje przybory (początkowo sryszarem, że to od Ruskich, po popach, ale później ktoś mówił, że rzeczy wypożyczył ksiądz niemiecki). Na msze sporo ludzi przychodziło, w każdą niedzielę.

Nie wiem, czemu nabożeństwo w Wigilię 45 było odprawiane przez księdza niemieckiego. Jedną z pan tłumaczyła kazanie, w którym ksiądz powiedział, że jesteśmy w kraju zakłamania i zakłęcia ludzkiego, że jest okazja w takie święto jak Boże Narodzenie przystąpienia do stołu Pańskiego... Bardzo mnie to wzruszyło. /P. Jan piącze, choć przez cały czas opowiadania zachowuje dosyć pogodny nstroj, czasem wręcz żartuje/. Udzielił nam ~~absolutorium~~ (zbiorowa spowiedź) i przystąpiliśmy do komunii. ~~Wtedy~~ ~~Brak zakapłdów~~

W lecie 45 roku przyjechała ekipa NKWD. Nazywaliśmy ich badaczami pisma, bo znowu zaczęli nas wołać i badać. Szybko się zorientowałem, że ci, którzy teraz nie przyznawali się do AK, a wcześniej w kraju im to powiedzieli, szybko szli do bunkra. Przyszła na mnie kolej. Siedzi młody facet. Zakurisz? Da. Pyta o wszystko. Do AK się przyznaję. A kto twój ojciec? - pyta. Ojciec przed wojną był starszym sierżantem, a w czasie wojny pracował jako dozorca w cukrowni, więc mu mówię - że robotnik. On do mnie - "Ty, syn robotnika, a w pańskim wojsku sryszares!" Ja mu na to, że walczyłem z Niemcami od 40 roku, a gdzie polscy komuniści wtedy byli? Podpisałem protokół i poszedłem.

I znowu nam mówią, że wojna się ~~skończyła~~ (Odrum skoiuyl przesłuchawie, p...), że do domu pojedziemy... W tym czasie na terenie obozu stawialiśmy nowe budynki. Głina mieszana z sieczką (był nawet kon, który to wszystko mięsił). Z tego robiliśmy cegry, które schyły na słońcu, nie wypalano ich nawet. Któregoś dnia - pamiętam - byłem już taki zmęczony ciągnięciem załadowanych tą niby cegłą wozów, tak mi to wszystko obrzydło, w dodatku nie dostaliśmy chleba, tak że nie miałem się powłóczyć nogami. Namówiłem kolegę, byśmy nie poszli do roboty. Schowaliśmy się. Zaczęli nas szukać, bo brakowało ludzi do wozu. Znaleźli nas, do komendanta ~~szef~~ ten - do bunkra ich, chleba im nie daj! Trzeba było paski od spodni oddać i na głodnego siedzieć. Ale kumple przyniesli nam trochę chleba; w bunkrze tylko raz dziennie dawali jedzenie. Rano przychodził cieć, wypuszczają nas na chwilę, by wyrzucić z wiadra. Ale i tak nie było najgorzej, bo do roboty nie trzeba było iść.

No więc między sobą tak trochę sobie pomagaliśmy, ale - o ile sobie przypominam - nie było jakichś prób zorganizowania się. Ludzie byli jacyś ośpieni. Zresztą funkcjni... (O tym pisze w książce "Trzy lata wykreślone z życia" /Paryż/ Jan Dzeduszycki). No więc ci funkcjni, jak się tylko dorwali do tych funkcji, to już na ludzi inaczej patrzyli... Byle ukraszi tyle. Tylko to życie kulturalne było jako tako zorganizowane.

Informatorów donosicieli też nie było wielu. Formalnie wiedzieliśmy o dwóch; jeden to żyd - Strzażkowski, drugi nazywał się Kiliszczuk - ten siedział jeszcze w latach 30-tych. Jako komunista mocno działał na Ukrainie wśród Polaków. Gdy Stalin scisnął Polaków, wywieźli go na zsykę, a przed samą wojną wypuścili. Później pracował w PKWN, bo znany był polskim komunistom, został komendantem UB na Krasnymstaw i Kraśnik. Potem podpadł znowu i wywieźli go razem z

nami. Właściwie nie był kapusiem, ale takim kulturalno-oswiatowym - dostawał gazetę, przychodził, przeczytał. Był to "zoinierz Wolności". Na przykład obieraliśmy karofle, przyszedł i ~~czytał~~, pamiętam raz czytał o generale Okulickim, jaki to był wróg socjalizmu, że wywieźli go do Moskwy, by tam postawić go przed sądem. W sumie ten Kiliszczuk był spokojny. Jeszcze żyje, ma teraz 90 lat, napisal nawet wspomnienia. Zresztą takich donosicieli to chyba nie było. Bractwo tak chodziło... Dowództwo ruskie nie musiało za bardzo się nami przejmować. Rano liczenie, wieczorem liczenie...

Pamiętam była taka grupa mania pisania zbiorowych petycji do władz PKWN-owskich, żeby przyjechali i zobaczyli, w jakiej my nędzy żyjemy... Nikt nie przyjechał. Z Czerwonego Krzyża też nikt. Podobnie w sprawie więźniów niemieckich też nigdy nikt nie przyjechał.

Późną jesienią 45 zaczęli powracać do Polski jako pierwsi Polacy, którzy zostali siłą wcieleni do wojska niemieckiego. Po Bożym Narodzeniu na wyczytywanej liście znalazłem się i ja. Ale i tak nikt Ruskim nie wierzył. Stale nam przecież obiecywali powrót. Ale któregoś dnia zwołują nas wszystkich na apel. Zaczęli oglądać nasze ubranie. To wszystko szmaty - mówią - trzeba je do magazynu, tam dostaniecie nowe ubranie. Miałem watowane spodnie, waciak, praszcz niemiecki, buty podarte... Myślę sobie, co będę wymieniał, szmatami buty owinę i starczy, byle do domu. Wyczytali nas tylko część, a do magazynu nie poszedłem, bo trzeba było tam stać kilka godzin.

Potem gruchnęła wieść, że depozyty oddają... Ale co tam było! Jeden zepsuty zegarek, dwa portfele - na kilkanaście tysięcy ludzi! Coś zaczęło świtać - to chyba do domu! Ale co do innych, nic nie wiadomo, nie widać.

Był już luty 46. Znow apel, ale tylko my - wyczytani wcześniej. Zaczynają nas oglądać. Jak mnie zobaczył Ruski, to - job twoja mac, w jakich ty butach chcesz jechać do domu, toż to przecież szmaty. Musisz się jakos pokazać! I do magazynu mnie. Tam stos butów. Kilku nas zagonił, a tu już krzyczą, że wychodzą za bramę. Złapałem jakieś buty i szybko dalej na bosaka, by tylko nie zostać ~~zadrutau~~

I wyszliśmy. O, teraz to było kulturalnie... Już nas nie bili kolbami karabinów. Ktoś nie mógł iść, a było kilka kilometrów, to Ruski - "Pan, pomóż koledze". Przyszliśmy do pociągu. W wagonach nary piętrowe porobione, piecyk i drzewo. Było już całkiem inaczej. Jechaliśmy przez dwa tygodnie. Obstawa grzecznie do nas się odnosiła, tzn. bez porównania grzeczniej niż w obozie, chociaż stale już w nic nie wierzyliśmy...

Patrzmy - Grodno. O, to już, panowie - krzyczymy - wrony polskie, wróble polskie! ~~z~~ *Płyną trzy rzesze, żurawie się!*

Pamiętam, na jednej stacji zabrakło nam drzewa do palenia. Konwojenci kazali nam kraść go z jakiegoś dwóch wagonów stojących na bocznicu. *momentalne specjalne polecenie. Wagonu zostały puste*

Wreszcie przyjechalismy do Brześcia i tu przerzucili nas do polskich wagonów. Trafiam do wielkiego wagonu - zimno jak cholera! A to był już koniec lutego. Kiedy nas przeprowadzali, widziałem z daleka jak Ruski gonili wlasowców, zapewne do tych wagonów, którymi przyjechalismy. Krzyczymy do konwojenta, że pomarzniemy, a on - "Niczewo, niczewo..." Przyszła noc, mroź. No, panowie - mówimy - nie możemy na granicy zamarznąć. Ustawiliśmy się w koło i całą noc chodziliśmy, biegaliśmy po wagonie. Nad ranem pociąg ruszył.

Terеспol. Ludzie stoją na rampie. Okienka w wagonie otwarte. Ktoś podaje paczkę fajek, ale gdzie tam - 50 rąk i nie ma papierosa ani jednego. Nie mieliśmy nic do jedzenia... Pojawia się kawałek chleba.

Wypuścili nas dopiero w Białej Podlaskiej, zaprowadzili do szkoły. Tam znajdował się taki punkt, w którym fotografowano nas z jednej i z drugiej strony. Każdy otrzymuje zaświadczenie o repatriacji *z piśmiem - a nie o powrocie z deportacji.*

Przyjechałem jak truposzczak, choć przedtem niezłe wyglądałem. Byli tacy, których ledwo udało nam się dowieźć, ale w naszym transporcie chyba nikt, na szczęście, nie umarł.

Ilu na powrócilo? Dokładnie do dzisiaj nie wiem. Obliczam, że spośród nas zginęło około 1/3. Zresztą ci, którzy zostali w Jegołsku, pojechali na Sybir, do Swierdłowska. Była to grupa wybrana chyba przez NKWD - pisze o tym pan Dzeduszycki. Pamiętam, że w tej grupie wywiezionych dalej był mój przyszły szwagier, oficer AK, rękę nawet stracił w akcji "Burza". Nasz ksiądz też chyba został wywieziony.

Pamiętam, że po powrocie do domu przyszli ze mną jedna pani i młody chłopak. Oboje byli z Rzeszowskiego. Ojciec tego chłopaka miał chyba przed wojną fabrykę serow. Nazwisk nie pamiętam, a bardzo chciałbym się z nimi spotkać...

Co mi pozwoliło przeżyć oboz?

C * * *

Chyba wiara mnie utrzymująca, pozwoliła mi to wszystko przeżyć... Byłem przekonany, że wrócę... Moje przekonania religijne... /w tym miejscu p. Jan płacze/.

Nauczyłem się niejednego. Nie przypominam sobie, bym czuł nienawiść do żołnierzy radzieckich - żołnierz to żołnierz - czułem raczej nienawiść do tego ustroju.

Dam takie przykłady. Na jesieni 45 poszliśmy raz do kołchozu, były tam jakieś suszarnie lnu. Wewnątrz siedziały trzy starsze kobiety. Zaczęliśmy rozmawiać. Kto wy? Polacy. Co tam w Polsce? Mówimy, że teraz to panom odbierają ziemię i oddają ją chłopom. A jedna z nich - "U nas to samo było, a my durne, brali, a potem i tak wszystko nam zabrali. Chodź, pokażę ci swój dom". Poszedłem. Izba niewielka, piec, na którym spala, iza, stoi, gazetami wyklejone ściany, dwa zdjęcia synów - jeden w marynarce, zginął, a drugi był gdzieś na froncie. Wyprowadziła mnie za chałupę. O, widziałeś - mówi - to było kiedyś moje pole, a teraz kołchozne, no i teraz nie mam już nic. Z naszym brygadystą dziadkiem też czasami rozmawialiśmy. Dziadku, a kiedy było lepiej, teraz czy kiedyś? "Za cara było dobrze - mówi - teraz jest też dobrze. Jak kto dziś ma krowę, to dobrze ma, jak dwie krowy, to on już teraz żyje!" Pewnego razu ciągnęliśmy wóz. Konwojowało nas dwóch młodych chłopaków, ruskich żołnierzy, mieli może 16-17 lat. Trochę rozmawialiśmy z nimi, opowiadamy im, że u nas na targach handluje się sianką, chleb można kupić, mięso... Oni na to, że my kłamiemy, że u nas jest niedza. Oni przecież nawet sobie nie wyobrażali, jak człowiek powinien żyć! Nadchodzi jakiś lejtnant, pyta - Kto wy? - Polacy. I zaczyna opowiadać, że przyjechał z Polski, że zostawił tam żonkę, bo ona nie chciała z nim jechać do Rosji. Ku wielkiemu zdziwieniu tych dwóch chłopaków potwierdza to, cośmy mówili. Inny przykład. Pewnego razu transportowaliśmy żywność dla Niemców, ciągnęliśmy wóz. Przyszliśmy nad rzekę i gwizdnęliśmy z beczki wielką rybę. Jeden z Ruskich to zobaczył i zabrał nam tę rybę. Wracamy. Wcześniej ten Ruski poszedł do baby, sprzedał jej kawałek tej ryby za machorkę, a nam dał tylko ryb. Sam się wreszcie najadł do syta. Innym razem poszliśmy do Borowicz po drzewo. Koło cerkwi spotykamy stare kobiety (mężczyzn nie było; może bali się tam chodzić). Pomodlicie się za nas - mówią - wy, Polacy. Bractwo płakało, jak nie wiem. Koło tej samej cerkwi, innym razem, jakąś babcia mówi - "Panowie, uważajcie, tu są krzyże, groby naszych ludzi". Mówimy do niej, że my jesteśmy katolikami, że my to szanujemy.

Według mnie to ten naród nie jest zły, ale biedny, jest taki zastraszone, taki zgnieciony, że sam nic już nie wie.

Jeszcze w obozie sobie przyrzekłem, że jeśli wrócę, to pojedę do Częstochowy i tam podziękuję.

Na zakończenie podam jeszcze taką informację, że w zeszłym roku w Łodzi mieliśmy pierwsze spotkanie byłych więźniów z Borowicz. Przyjechali nas dwudziestu kilku.

Śmiało miesiąc 1987 cytuję na piśmie do Archiwum Akt Nowych o Ustawie o wydaniu reszatkowców (Kresakowców) ze przebywania jako internowani (deportowani) w Z.S.R. i do Polski w dniu 2 marca 1946r. Mijały miesiące bez odpowiedzi. Wysłali dwa powyższe. Wreszcie Archiwum Akt Nowych pisaniem z 8 grudnia 1987 roku IV-842-879/87 odpowiedziało, że reszatkowca/ankiety repatriacyjnej nie mogą wydać, ponieważ Centralne Archiwum Min. Spr. Defensywnych odpisało im iż nie mogą wydać ankiety repatriacyjnej, więc nie ma podstawy do wydania tego reszatkowca. W tej sytuacji Archiwum A.N. przekazało moją sprawę do Centralnego Biura Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce w Warszawie, która Komisja wraz z Centralnym do Z.S.R. nie uzyskała. Jednocześnie podałem że Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego - Gabinet Ministra wydało mi reszatkowca Nr 7865, że przybyć do Polski z terenów Z.S.R. Pismo miało datę 2 marca 1946r oraz dwie okrągłe pieczęcie z Góttarem w środku 1) Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego i podpis z upos. Spr. Gabinetu Min. 2) Komando Czerw. Bezpieczeństwa Publicznego w Białej Podlaskiej. Wszędzie jest to pismo jeden doświadczeniem komunistycznym. Usiłowanie wywarania z niego prawa i tytułu bezprawnego wzięcia i powzięcia. Tytuł dlatego że byłam i jestem Polakiem i jako ankieta chłopiec walczący z faszyzmem.

JAN ONOSZKO

Sokołów Podlaski - Ostaszków - Bałagoje - Borowicze I poł. XII
1944 - transport do obozu

Jegorsk /Jogła/ obóz i wies - 5 km od Borowicz

Borowicze - Grodno - Brześć - Terespol - luty 1946 - trasa
powrotu do kraju